№ 38. Warszawa, dnia 19 (7) Września 1885 r. Rok V

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. abonentom naszym przypominamy nadchodzący termin kwartalnej przedpłaty.

PIERWSZA PORAŻKA.

Wróżbitom dziennikarskim od lat kilkunastu nie wiedzie się. Wtedy, gdy wskazują różne „chmury" i przepowiadają „burze," widnokrąg polityczny nagle rozjaśnia się i prorokowane gromy wcale nie spadają. Wtedy zaś, gdy „wytrawni" publicyści drwią sobie z jakiegoś drobiazgu, wyrasta on na przyczynę bardzo poważnych skutków. Ale niech śmiertelni ukoją swój smutek pociechą, że wreszcie chybił i nieomylny pół-bóg — ks. Bismark. Wysyłając do wysp Karolińskich swego Protazego, który wyskoczywszy z „gęstwy badylów" miał doręczyć pozew hiszpanom podczas ich nieobecności, kanclerz niemiecki ani przypuszczał, co z tej błahostki wyniknie. Przewidywał zapewne, że Hiszpania się skrzywi, że jej prasa zaszemrze, ale nigdy, że poselstwo niemieckie w Madrycie będzie znieważonem a król Alfons podminowanym. Szczerze mówiąc, w gorącej wodzie kąpani synowie Iberyi nie są w wielkim porządku ze swemi „prawami" do wysp Karolińskich. Odkryli je, obdarowali kilkoma misyonarzami — to prawda, ale niewystarczająca jako dowód wobec zaborczego głodu Niemiec, świeżo zaostrzonego „polityką kolonialną," która giermańskiemu Michałkowi pozwalała dotąd tylko łykać ślinki. Rzeczywista siła wojskowa, aureola siejąca postrach, wreszcie nagle wyrośli jak grzyby po deszczu nowi „geografowie" (na każdym gwałcie pruskim kładzie swą pieczęć „nauka"), którzy niezbicie unieważnili „przedawnione pretensye" — wszystko to dawało nadzieję, że bodaj jedną wysepkę będzie można urwać. Tymczasem okazało się, że winogrona wiszą wyżej, niż lis przypuszczał. Prasa hiszpańska zatrąbiła na gwałt, żywioły rewolucyjne (republikańskie), korzystając z rozpalonych namiętności, podłożyły ogień pod tron królewski, który nagle stanął w płomieniach. Z krzyków narodu wolno żartować, mając pięść mocną, ale niebezpieczeństwa monarchii przedstawicielowi i obrońcy monarchizmu lekceważyć nie wypada. Zresztą ks. Bismark możeby i koronę poświęcił za kilka wysp, ale po nad nim stoi cesarz Wilhelm, który na takie rzeczy jest czułym. Gdy pytanie: czy Hiszpania ma prawo do Karolin zamieniło się na inne: czy wywołać w niej rewolucyę i dopuścić do steru republikanów — odpowiedź Niemiec musiała również się zmienić. Co gorsze: strata wyspy Yap, czy też rzeczpospolita hiszpańska — przed taką zagadką stanął całkiem niespodziewanie ks. Bismark. „Nacisk z góry" — jak mówi telegram — kazał mu wybrać pierwsze złe. Tu właśnie ma swe źródło owa „pojednawczość," „względność" i „przyjacielskie zamiary," które tak wychwalano w postępowaniu Niemiec.

Niema tedy wątpliwości, że ks. Bismark przerachował się i że musi wykonać odwrót, do czego nie nawykł i co dla niego jest zwłaszcza niepożądanem w świeżej polityce kolonialnej. Ani błędu wszakże, ani porażki nie mogą widzieć jego bałwochwalcy, którzy i z tego potknięcia się wydobywają dowody „wielkiej mądrości i genialnej przenikliwości." Do jakiego stopnia wzrósł już byzantynizm w tych ślepych umysłach, przekonywa najwymowniej podobno ta sprawa. Niezdolne one są pojąć w niej wyraźnej omyłki, która zresztą bóstwa z piedestału nie strąca, ale koniecznie usiłują przekonać świat, że pod tą pozorną przegraną „żelazny kanclerz" kryje jakieś wielkie plany, które dopiero kiedyś na wierzch wypłyną. Nawet prasa mu nieprzyjazna (postępowa) domyśla się tej genialnej pułapki, w którą wpadła Hispania a z nią Europa. W dziennikach niemieckich nam znanych spotkaliśmy zaledwie jeden głos otrzeźwiający i przyznający szczerze „Missgriff" ks. Bismarka. Inne wytrzeszczają tylko w zdumieniu oczy, ażeby dojrzeć sprężynę, która spuści przykrywkę potrzasku, gdy go już naiwne wróble napełnią. Jak to — „żelazny kanclerz" miałby się omylić i to w polityce zagranicznej, w której jest wyrocznią, papieżem — to za śmiałe, za zuchwałe przypuszczenie dla niemieckiej głowy! Nie, tam musi coś tkwić niewidzialnego a genialnego! Koniecznie!

I oto zwykła ułomność ludzka podniesiona została do tej godności, którą posiadły wielkie czyny pruskiego Herkulesa. Ale medal, wybity przez służalcze gazety na pamiątkę zwycięstwa dyplomatycznego, bohatera i historyi zdobić nie będzie. Olbrzym potknął się — a rzesza niewolników go pozdrawia. Śmiejmyż się my przynajmniej.

Ustępstwo ze strony Niemiec jest tem konieczniejsze, że one wojny z Hiszpanią prowadzić nie mogą. Kilka gazet utrzymuje, że o jakąś tam maleńką wyspę Bismark nie prowadziłby wojny, t. j. gry, która niewarta byłaby świecy. Pomijając ten wzgląd, że owa wysepka na oceanie Spokojnym po przekopaniu kanału Panama i przeprowadzeniu nowej drogi handlowej podskoczyłaby w cenie i z taką przyszłością uśmiecha się niemcom, pamiętać trzeba — na co ustawicznie zwracamy uwagę — że ks. Bismark — to nie młody, daleko widzący orzeł, ale drażliwy, uparty i despotyczny starzec, który nie żałowałby ofiar dla przeprowadzenia swej woli. Jeżeli rocznie wytacza kilka set pro-

cesów dziennikarzom i ludziom prywatnym o obrazę swego majestatu, jeżeli przez kilka instancyj sądowych ścigał za to biedną praczkę, jeżeli mścił się na rzeźniku, który nazwał psa jego imieniem, to niewątpliwie ukarałby Hiszpanię orężem, gdyby strzelanie przez głowy francuzów było możliwem. Ale, niestety, wojna lądowa jest tu niewykonalną. A morska? Flota niemiecka wzmogła się, ale jeszcze zębów mądrości nie dostała, podczas gdy hiszpańska ma stare, chociaż zdezelowane siły i praktykę; przechwałka więc pewnego dziennika madryckiego, że między pamiątkowymi sztandarami brak niemieckiego, który zdobyć trzeba, mogłaby się spełnić.

Z tych powodów ks. Bismark w rzeczywistości nie uniknie porażki i w tej chwili rozmyśla z pewnością nad tem jedynie, jakby ją przybrać pozorami zwycięstwa.

NACISK I ODPÓR.

Kto miał jeszcze jakie złudzenia, ten się z niemi chyba już pożegnał. Przerażająca bowiem cyfra 30,000 skazanych przez Prusy na wygnanie w ostatnich dniach urosła do 35,000, a kto wie, czy to już kres tego postępu. Pogłoskom o złagodzeniu ohydnego edyktu (na prośbę izb handlowych) zamknęły usta ofiary prześladowania, skarżące się w dziennikach. Jeden z wypędzonych w liście do *Kuryera warszawskiego* donosi, że wydalają z Królewca nawet młodzież kształcącą się i posiadającą najformalniejsze pasporty. A jaka z pojedynczych faktów składa się martyrologia! Starcy 70 letni, kaleki, ludzie, którzy „za ojczyznę“ pruską potracili w wojnach ręce i nogi, muszą iść na tułaczkę o żebraczym kiju. I na to wszystko spokojnie patrzy „moralność“ cywilizowanej Europy, ze zgrozą opowiadającej okrucieństwa hiszpanów w odkrytej Ameryce—przed 300 laty.

„Gazeta *Pester Lloyd* — mówią *Pet. wied.* — zamieściła ciekawą wiadomość, nadesłaną jej jakoby ze sfer bliskich rządowi berlińskiemu, dobrze poinformowanych i kompetentnych, a objaśniającą powody i względy, które skłoniły administracyę pruską do oczyszczenia wschodnich prowincyi Prus od szkodliwych napływowych warstw społecznych, przybywających ostatnimi czasy z miejscowości polskich. Początek tej politycznej asenizacyi wschodnich pruskich kresów sięga czasów największego zaostrzenia klerykalnej opozycyi w parlamencie z powodu której minister wyznań Gossler, ku powszechnemu zdumieniu grup parlamentarnych, zszedł odrazu z gruntu kościelno-politycznego na czysto narodowy i objaśnił, w jaki sposób rozrost polszczyzny we wschodnich prowincyach oddziaływa na upadek niemieckiego ducha, niemieckiej idei narodowej i jakiemi tajnemi drogami polonizm i ultramontanizm wzajemnie wyciągają ku sobie ręce. Ministeryalne to oświadczenie zaraz wówczas wywołało zarzut ze strony liberałów niemieckich, obwiniających rząd o to, że sam on przez swoją politykę reakcyjną przyczynił się do zakorzenienia złego, przeciw któremu obecnie zmuszonym jest walczyć najradykalniejszymi środkami. Statystyka wskazuje, że wzmaganie się albo upadek idei i roszczeń polsko-katolickich były wprost zależne od tego, czyj wpływ przeważał u steru władzy: prądów zachowawczych, czy też liberalnych. Sama walka wyznaniowa była rozpoczęta w epoce Falka, w warunkach pośrednio popierających rozrost polonizmu. W roku 1864-ym luterańska, czyli ewangelicka ludność Prus przewyższała o dwadzieścia pięć procent katolicką, a w r. 1880 liczba pruskich poddanych wyznania ewangelickiego spadła o dziesięć procent niżej od cyfry ich katolickich współobywateli. Objaw podobny, według *Pester Lloyda*—nie da się racyonalnie wytłomaczyć nadzwyczajnym do Prus przybytkiem napływowego pierwiastku polskiego, ponieważ przez cały zakres czasu od 1864 do 1880 nie przewyższył on w ogólnej sumie 146,000 dusz; przyczyny wzmożenia się ducha polskiego słuszniej szukać by należało w przejściu ogromnej liczby pruskich obywateli z luteranizmu na katolicyzm. Z przyjęciem zaś katolicyzmu, każdy niemiec siłą okoliczności staje się polakiem. Komunikat przytacza przykłady, jak miasta pruskie stopniowo się polonizowały. W pewnem miasteczku zamieszkujący tam polak doszedł w r. 1872 do zamianowania go burmistrzem, a wkrótce potem rozpoczęły się uroczyste nawracania miejscowych luteranów na katolicką wiarę, a towarzyszyła temu zmiana nazwisk. Niemiec Freitag na łonie katolicyzmu stawał się Piątkiem, Michaelis przeobrażał się w Michajłowicza, Herman w. Hermanowskiego itd., i tym to sposobem narastała sztuczna polska warstwa, ściśle solidarna z dążnościami katolicyzmu i w walce kulturalnej idąca z nim ręka w rękę. Gazeta *Pester Lloyd* bynajmniej nie zgadza się z wyżej przytoczonymi dowodami i trzyma się tego zdania, że wypędzanie „uczciwych ludzi,“ usprawiedliwione tem tylko, że są „polakami i katolikami,“ nie zgadza się z jakiemkolwiek zdrowem pojęciem o prawie wszelkiej zdrowej teoryi państwowej. Dalej półurzędowy organ węgierski wpada w ton krakowskiej prasy z powodu podpadłych pod pruski ukaz wydalenia polaków austryackich i powiada, że od prawdziwych przyjaciół Niemiec przydałaby się rządowi pruskiemu rada, aby nie nadużywał środków proskrypcyjnych, a to dla nienarażania swoich poddanych na odwet ze strony innych mocarstw.“

Ruch antigermański w Rosyi, niewątpliwie podsycony tymi wypadkami, rozwija się powoli, ale ciągle. Zapisujemy kilka objawów i głosów.

Sowremien. Izwiestia witają z zachwytem dymisyę dwu burmistrzów w prowincyach nadbaltyckich. „Radość z tego powodu—woła ów dziennik—równa się chyba tylko uczuciu, jakie na wiosnę wywołane zostało zwycięstwem nad Kuszkiem... Przez lat 900 trwała względność dla niemieckiej szlachty i mieszczan... nakoniec, nakoniec chwycono się innego systemu względem prowincyi baltyckich.“ Czy jednak sprawiedliwość ukarze obu opornych wedle miary ich występku? pytają *Sowr. Izwiest.*: „Kiedy sąd, to sąd; my jednak wracamy do zdania wielokrotnie przez nas wyrażanego. Projekt nasz następny: ile razy od jakiejbądź władzy nadejdzie papier niemiecki z oświadczeniem, że pewien przepis nie może być spełniony, bo jest napisany po rosyjsku, w takim razie sporządzić tłomaczenie rosyjskie lub odwrotnie, zrobić taką przyjemność fanatykom germanizacyi, by odpowiednią urzędową korespondencyę mogli czytać w języku niemieckim, ale za tłomaczenie ściągać opłatę np. po dziesięć rubli za wiersz, drogą sądową.“

„Chociaż przez zniesienie generał-gubernatoratu osiągnięto zewnętrzne zniweczenie jedności prowincyi, duchowe utrzymało się w uniwersytecie. Nie myślimy rozstrzygać, w jakim kierunku reorganizacya dorpackiego uniwersytetu ma nastąpić.

---

14)

ASPAZYA

DRAMAT W 5 AKTACH

ALEKSANDRA ŚWIĘTOCHOWSKIEGO.

(Wł. Okońskiego).

AKT V.

(Plac publiczny, a na nim mównice i siedzenia kamienne oraz posągi bogów. Gwarny tłum mężczyzn i kobiet).

SCENA I.

Obywatele ateńscy, Menon, Elpinika, Tucydydes i Diofites.

Pierwszy obywatel.

Nie chce dotąd przyjmować żadnego posiłku. Tak osłabł, że nie może utrzymać się na nogach.

Drugi obywatel.

Dręczy go sumienie.

Pierwszy obywatel.

Ciekawy jestem, co też orzekną wyznaczeni przez areopag biegli?

Drugi obywatel.

Powinniby już nadejść.

Pierwszy obywatel.

Wolałbym nie być sędzią tej sprawy — ma ona jakąś nierzetelną podszewkę. Słyszałem, że spartanie zamierzają nas znowu napaść.

Drugi obywatel.

Obraza boska jednak jest i trzeba ją ukarać (*oddalają się*).

Trzeci obywatel (*zbliżając się*).

Ja Peryklesowi wierzę. On by nie przyjaźnił się ze złodziejami.

Czwarty obywatel.

A ja jeszcze bardziej nie wierzę arystokratom: kogo oni prześladują, ten musi być porządnym człowiekiem (*odchodzą*).

Piąty obywatel.

Na zboże śniedź padła, jarzyny wyschły, owoce dobrego zbioru nie obiecują—widoczny to gniew bogów, żądających ofiary.

Szósty obywatel.

Ludzie opowiadają, że pasterzom na górach ukazuje się ciągle Bachus w postaci żebraka, proszącego o winne grono. Jest to niewątpliwa zapowiedź klęsk.

Piąty obywatel.

A magazyn Peryklesa w tym roku nie bardzo zasobny (*przechodzą*).

Menon.

Przed każdym pojedyncze zarzutów moich uzasadniać nie będę — poczekajcie na rozprawę sądową.

Siódmy obywatel.

Ale pamiętaj, ażebyś ich dowiódł należycie, bo inaczej jakiś gruby kij niedaremnie rośnie.

Menon.

I ja mój znajdę, a tymczasem chciałbym tylko wiedzieć, co wam do tego?

Ósmy obywatel.

Fidyasz był także naszym mistrzem, znaliśmy go jako człowieka przezacnego, a tyś go zrobił złodziejem.

Menon.

On sam się zrobił.

albo nawet, czy on ma dalej istnieć; przekonani jednak jesteśmy, że sama zmiana języka wykładowego wcale tu nie wystarcza. W jakimbądź języku wykłady będą prowadzone, stary kwas pozostanie. Zaginąć musi tradycya, idee i kierunki muszą być przecięte i wytępione, bo mogłyby się ostać, chociażby nawet na zewnątrz wszystko było rosyjskiem. Zatem muszą być rozwiązane fakultety, niektóre z nich przeniesione do innych i to czysto rosyjskich miast, przedewszystkiem zaś musi być zaprowadzony powszechny uniwersytecki statut bez żadnych przywilejów i wyjątków. Tylko w taki sposób można usunąć ducha odrębności z tego ogniska germanizacyi."

Nowoje Wremia cieszy się, że szlachcie inflanckiej odmówiono zatwierdzenia przywilejów. Bo—zdaniem tej gazety—„utraciły one wszelkie państwowe znaczenie wobec zupełnego zlania się gubernii nadbaltyckich z resztą Cesarstwa. Rozporządzenie rządowe utwierdza w kraju nadbaltyckim znaczenie cerkwi prawosławnej jako religii panującej. Dotychczas w tych prowincyach przy zawieraniu małżeństw mieszanych między prawosławnymi a protestantami pozwalano nie brać od małżonków zobowiązań chrzczenia dzieci według wyznania prawosławnego. Ulga ta doprowadziła do tego, że pomimo ciągłego przechodzenia na prawosławie estów i łotyszów, liczba protestantów rosła w kraju, a liczba prawosławnych stała w mierze. Na przyszłość dzieci, urodzone z takich rodziców, na mocy ogólnego prawa państwowego, będą uważane za prawosławne. I w kraju nadbaltyckim luteranizm nie jest religią panującą, lecz tylko tolerowaną jak inne. Podobno przygotowują się jeszcze ważne rozporządzenia dla pogranicza nadbaltyckiego."

Dniewnik warszawskij zamieszcza znaczący artykuł.

„Eksploatacya źródeł ekonomicznych przez cudzoziemców — powiada on — nie ogranicza się u nas tylko do przemysłu; rzucają się oni na każdo korzystne zajęcie: handlowe, komisowe itp., i tym sposobem powoli tworzą silny i wyróżniający się organizm, związany nietylko węzłami etnograficznymi, lecz i interesami materyalnymi. Tak np. niemiec mieszkający w kraju, zawsze urządza się tak, iż prawie nie korzysta z usług tutejszych sił rzemieślniczych, lecz przeciwnie, starannie je omija. Bierze ubranie u krawca niemca, buty u landsmana szewca; idzie pić piwo do knajpy, utrzymywanej przez niemca; jeśli wyniknie jaki spór, znajdzie się adwokat niemiec do usług gotowy; na chorobę w domu znajdzie się doktór niemiec; potrzeba książki — dostarczy jej księgarz niemiec itd. Słowem, stopniowo i nie śpiesząc się, niemcy urządzają się tak, że sprowadzają swe domowe i towarzyskie stosunki z tutejszą ludnością do minimum. Wprawdzie, istnieją przedsiębiorstwa, których niemcy nie tykają, lecz i w tych rzadkich razach widocznem jest, że te niezajęte stanowiska nie szkodzą interesom kolonii niemieckiej. Naprzykład odsunięcie się niemców od interesów bankierskich objaśnić można nieużytecznością ich dla tutejszego towarzystwa niemieckiego. Popierwsze, niemiec jest bardzo ostrożny i kredytu używa tylko w razach koniecznych; powtóre wielu z nich posiłkuje się kredytem zagranicznym o procencie wiele niższym, niż ten, który tutaj płacić trzeba; potrzecie, widząc drogość tutejszego kredytu prywatnego, uciekają się wciąż do kredytu publicznego i starają się wszelkiemi siłami, aby w ważniejszych ogniskach niemieckich tutaj mieć na swe usługi publiczne instytucye kredytowe. Tak np. w Łodzi istnieje oddział Banku polskiego i Towarzystwo kredytowe miejskie. Pamiętamy wszyscy, z jaką gorączkową natarczywością fabrykanci Tomaszowa w roku zeszłym starali się o otwarcie w ich mieście oddziału Banku państwa. Jeśli kraj tutejszy niema prywatnych banków niemieckich, to tylko dlatego, że są one niepotrzebne dla osiadłych w Królestwie polskiem niemców; lecz jeśli okoliczności tego wymagać będą, bądźmy pewni, że niemieccy bankierowie nie każą długo na siebie czekać. Przytem stosunki niemców z ludnością tutejszą nie są jednakowe. W rzadkich wypadkach, gdy przybysz z nad Sprei, nieumiejący słowa po polsku, znajdzie się w stronach jeszcze przez niemców niezamieszkanych, nie napotyka wielkich trudności dzięki żydom, z którymi łatwo mu się porozumieć. Wszyscy bardziej cywilizowani żydzi posiadają doskonale język niemiecki. Ważna ta okoliczność, nadzwyczaj ułatwia niemcom stosunki z tutejszą ludnością i sprzyja giermanizacyi kraju. W Łodzi, Tomaszowie i innych miastach, gdzie przeważają lub królują niemcy, handlowe i targowe firmy żydowskie prowadzą księgi i korespondencyę po niemiecku. Żydzi nigdy i nigdzie nie przeciwdziałali niemieckim robotom i przedsięwzięciom; to nie nieprzyjaciele, lecz główni pionierowie postępu kolonizacyi cudzoziemskiej w kraju tutejszym, z której oni tylko jedni umieją wyciągać korzyść dla siebie, jako pośrednicy i gorliwi propagatorowie przemysłu niemieckiego nietylko tutaj, lecz i w Rosyi. Zbyt łódzkich i im podobnych towarów na rynkach rosyjskich odbywa się wyłącznie przy pomocy agentów i komisyonerów żydów, osiągających z tego pośrednictwa niemałe zyski. Żydzi, zrozumiawszy, jaką rolę odegrać mają wobec napływu obcych żywiołów, przyłączyli się do nowej siły ekonomicznej, i, współdziałając z nią, umieją wyzyskać położenie; odczuli, że walka z tą siłą mniej jest wygodna, niż przymierze, i dlatego gorliwie do nowej potęgi się przyłączyli. Fakty w zupełności usprawiedliwiły zasadność rachunku. Niemcy i żydzi, idąc ręka w rękę, świetnie prowadzą swe interesy i coraz bardziej zabezpieczają sobie panowanie ekonomiczne w kraju tutejszym."

Pisma nasze prawie bez wyjątku zachęcają ogół do zastępowania w pracy sił niemieckich polskimi, wypartemi z Prus. O czynach wszakże w tym kierunku słyszymy niewiele. Nadewszystko świat kupiecki, mogący tu dokonać najpoważniejszego odwetu, nie dał żadnego znaku, zdradzającego chęć i zamiar pomszczenia krzywdy. W kantorach naszych siedzą jak dawniej niemcy, rozweseleni kłopotami polaków, zmuszonych opuścić Prusy 1 października. Charakterystyczne to przeciwstawienie!

Wogóle jak widzimy, kąt odbicia u nas nie jest bynajmniej równy kątowi padania ze strony Prus — chociaż tak uczy fizyka, polityka, moralność i inne nauki w tej sprawie pozbawione głosu.

LISTY KRAKOWSKIE.

5 września, 1885.

Wycieczki i zjazdy. — Odwiedziny archeologów. — Klapa bezpieczeństwa. — Zamordowanie Bałuckiej. — Obrazek stosunków gminnych.

Główną cechą obecnej chwili w Austryi jest gorączkowy ruch podróżniczy, który, jak wszystko na świecie, jednym większe, drugim mniejsze przynosi pożytki. Kromieryż gościł w swych murach zjazd monarchów, odwiedzali francuzi i czesi pe-

---

Siódmy obywatel.

No, zobaczymy. Staraj się braciszku, ażebyśmy ci pozwu nie wypisali na skórze!

Elpinika.

Kto to?

Menon.

Uczniowie Fidyasza, grożą mi napaścią, jeśli skargi nie udowodnię.

Elpinika.

Żartuj z nich — wszystko dobrze się układa. Stary Diofites bardzo zręcznie nam pomaga (*odchodzą*).

Tucydydes.

Za taki kawał łąki cztery miny — tojak bym ci darował. Ale ustąpię — po skończeniu się sprawy pomówimy. Należysz dziś do przysięgłych?

Dziewiąty obywatel.

Należę.

Tucydydes.

Po sprawie zatem zgodzimy się. Tych świecących ryb chyba z więcierza nie wypuścicie.

Diofites (*zbliżając się do Tucydydesa*).

Co to znaczy, że niema ani Peryklesa, ani nikogo z jego przyjaciół?

Tucydydes.

Są w więzieniu u Fidyasza. Ksantyp nie wytrzeźwiał?

Diofites.

Nie.

Tucydydes.

Ale czy znowu nie za bardzo pijany?

SCENA 2.

Ciż, Metronomos, Archont, Protagoras, Polignotos, Alcybiades i Hermipos.

Metronomos.

Szanowni obywatele, uciszcie się, sędziowie niech zajmą swoje miejsca. Sprawa Fidyasza! (*gwar ustaje*).

Archont (*zasiada na prezydyalnej ławce*).

Czy wszyscy przysięgli są obecni?

Metronomos.

Pięciuset.

Archont.

Gałki rozdane?

Metronomos.

Tak.

Archont.

Biegli, wyznaczeni do obejrzenia posągu Ateny na Partenonie, wrócili i mają nam złożyć swoje wnioski.

Jeden z biegłych.

Oceniwszy dokładnie ozdoby statuy, o ile to bez uszkodzenia jej było możliwem, powzięliśmy przekonanie, że Fidyasz zużył wszystko dane mu złoto i od zarzutu kradzieży powinien być wolnym (*zgiełk*).

Menon.

Nieprawda!

Głosy.

Oszczerca! Obciąć język! Zalać gębę ołowiem! Najęty łgarz!

Archont (*stukając laseczką*).

Proszę o spokój!

Jeden z biegłych.

Co zaś do puklerza, w jego płaskorzeźbie, wyobrażającej wojnę amazonek, znaleźliśmy dwie twarze z niejakiem podobieństwem do rysów Fidyasza i Peryklesa (*znowu zgiełk*).

sztońską wystawę, dziś siedzą tam polacy, austryaccy architekci robili wycieczkę do Krakowa, słowiańscy pątnicy do Welehradu, archeologowie polscy zjechali się we Lwowie, a „od niemieckiej strony“—jak w pieśni wajdeloty—ciągną zwolna, lecz stale w granice monarchii tułacze bez dachu, ofiary żelaznego prawa pięści; wreszcie za parę dni pospieszą do stolicy przedstawiciele interesów i potrzeb krajów koronnych, by radzić o szczęściu narodów.

Wśród tego ruchu Kraków nie stanął na uboczu. Przed tygodniem przyjmował u siebie stowarzyszenie austryackich architektów, którzy co roku zwiedzają coraz inne strony, by zapoznać się na miejscu z przedniejszymi utworami sztuki budowniczej. Poważna, bo do stu osób dochodząca liczba gości mieściła w sobie najdzielniejsze siły techniczne bogatej w znakomitości stolicy; dość wspomnieć radcę Schmidta, *Dombaumeistra*, twórcę wspaniałego ratusza wiedeńskiego. Goście, przyjęci z godnością, zobaczyli wszystko, co mogło ich w mieście naszem zająć: zwiedzili saliny wielickie, napili się sławnych miodów krakowskich i wrócili do siebie zadowoleni z podróży. Ta ich naukowa wycieczka jest dla pamiątek krakowskich miłym a niekłamanym komplimentem. Że polacy unoszą się nad krakowskimi zabytkami sztuki przeszłości, nic w tem dziwnego: mieszczą one dla nich całą potęgę wspomnień drogich i mówią im wiele swem milczeniem. Wiedeńczycy jednak i do tego ludzie fachowi, sądzić mogli chłodno, bez uniesień, bez obowiązku chwalenia—a przecież oddali arcydziełom naszej sztuki najpochlebniejsze świadectwo i poważne ze sobą unieśli wrażenia. To uznanie obcych wielką ma wagę i przypomina obowiązek sumiennego przestrzegania zabytków, które nie tylko do narodowej, lecz i do europejskiej sławy mają prawo. W pierwszym rzędzie Wawel wzbudził podziw wiedeńskich gości: oby myśl odnowienia tego zamku wygrała jaką stawkę przy tej sposobności...

W parę dni później ruszyli nasi do Lwowa na zjazd archeologiczny. Myśl zjazdu tego powstała przed dwoma laty, kiedy komisya naukowa oglądała szczątki odgrzebane starego Halicza. Wschodnia Galicya pod względem badań archeologicznych i estetycznych była dotychczas bardzo mało śledzona, a na sumienne rozpatrzenie zasługuje ze wszech miar. Na jej to gruncie od wieków ścierały się dwie cywilizacye: wpływy bizantyjskie z kulturą zachodnią. Oba kierunki wycisnęły prawdopodobnie na utworach sztuki swe piętno, walcząc ze sobą lub ustępując sobie wzajemnie miejsca. Rozpatrzenie się w dziełach tak „skrzyżowanej rasy“ jest niesłychanie ciekawe. Nie mam zamiaru wkraczać w prawa lwowskiego kolegi i dla tego ograniczam się na uwadze, że zjazd lwowski ściągnął bardzo mało archeologów—rusinów i że wyraźna przewaga była po stronie żywiołu krakowskiego. Rusinowi nie brak historyków w ścisłem tego słowa znaczeniu, w archeologii zaś dotychczas mniej prowadzili poszukiwań. Może zjazd da pobudkę do nowych w tym kierunku usiłowań, a neutralny grunt naukowy zbliży zapewne przy wspólnej pracy badaczy ruskich i polskich z wielką dla umiejętności korzyścią.

Tymczasem ojcowie miasta pojechali do Pesztu na wystawę. Inicyatywa wyprawy powstała we Lwowie, krakowscy tylko przyłączyli się do niej. Zważywszy doniosłość naukową, przemysłową i techniczną wystawy, należałoby powinszować tylko galicyjskim mężom, że chciwość wiedzy i doświadczenia wywiodła ich za Karpaty. Ale skoro czytamy w dziennikach o toastach, mowach, korowodach i pieśniach, to nasuwa się myśl, że inne były powody podróży. Jakie? Sympatya dla Węgrów. Ocena podobnych nieokreślonych popędów powiązanych tęczową tkaniną otuchy i wspomnień ze smutkami przeszłości i nadziejami przyszłości—jest trudna i niebezpieczna. Ocenianie sprawy chłodne, na podstawie istniejących danych, może być nazwane małodusznością, lekceważenie wątpliwych korzyści może się spotkać z zarzutem dobrowolnej rezygnacyi albo i zdrady. A jednak należy przypomnieć, że nad głową wiszą jak kamień dowody chciwości i egoizmu Węgrów w sprawie ugody z drugą połową monarchii, a nadto, że przedstawicielami Krakowa w Peszcie są ludzie, którzy jak najmniej mogą być posądzeni o skłonność do wzbudzania na własną rękę narodowych sojuszów z myślą daleko wybiegającą w przyszłość, którzy w chwili o wiele ważniejszej, namacalnie pożytecznej... w czasie wycieczki czechów do Krakowa, trzymali się dyplomatycznie z daleka, nie tykając tej struny, która dziś nad Dunajem była „jako cymbał brzmiąca.“ Stańczycy wiecznie nam wołają: „słowami nie zbudujecie nic a wszystko możecie zgubić.“ W iluż to ważnych chwilach kazali krajowi cicho siedzieć i łykać gniew lub zapał tłumiony dla karności, dla dobra przyszłych pokoleń. Teraz jednak nie przypomnieli tej zasady, gdy ich ulubieńcy pojechali na czele deputacyi ze czczem słowem do Węgrów. Dla czego — łatwo dociec. Tam tylko knebel kładą na usta obywateli, gdzie słowo, gdzie wołanie jest upomnieniem się o swoje prawa lub wybuchem krewkiego uniesienia—ale niewinne hałasy witają życzliwie, bo widzą w nich niejako otwartą klapę bezpieczeństwa, zapewniającą obniżenie ciśnienia na przyszłość. Uspokojony upustem pary, kocioł spokojnie sobie będzie klekotał, a maszynista tymczasem, prożen troski, pochodzi około spraw własnych. Wizytę peszteńską z wielkim spokojem i umiarkowaniem poruszyła *Nowa reforma* i we właściwem pokazała świetle, przedstawiając zupełną jej bezowocność na dziś, a podnosząc tylko na uspokojenie szowinizmu moralne widoki na przyszłość. Niema może drugiego miasta polskiego, gdzieby ogół tak mało miał zastanowienia i poważnego sądu, jak u nas—zresztą hałaśliwe kiermasze z politycznym pokostem zawsze należy oceniać miarą swojską. Pod ciągle działającą zimną pompą stańczykowską nie mniej kwitnie u nas nałogowe przyzwyczajenie do łatwych uniesień. Mamy nie stu, lecz setki i tysiące takich, którzy dla „miłości ojczyzny“ umieją jeździć choćby za Karpaty, pić na umór, śpiewać aż do zerwania gardła, płakać rzewliwie i mieniać się na czapki—w dobrej wierze—w spokoju dobrze spełnionego obowiązku. Jest to patryotyzm *sui generis*, który nie przeszkadza wyznawcom (męczenników on nie ma) głosować za wstecznym kandydatem i czapkować przed urzędnikiem lub hrabią.

Nic dziwnego, że Chmielowski nie mógł u nas dobrego mieć powodzenia ze swym pięknym odczytem. Jeżeli chciał sobie zjednać uznanie, nie będąc członkiem Akademii i nie mając mitry, powinien był postarać się pierwej o tytuł profesora wyższej magii albo nadwornego prestidigitatora egipskiego kedywa. Wreszcie przeznaczenie dochodu choćby na cele misyj afrykańskich, byłoby lepiej widziane, niż wygłaszanie odczytu na rzecz krakowskiej Czytelni akademickiej. Szanowny prelegent nie jest pierwszym i nie jest ostatnim z uczonych, których zasługi, uznane w całym kraju, czekają cierpliwie i bez końca przed niebieskobiałemi rogatkami polskiego Rzymu.

Zuchwałe morderstwo, popełnione na Maryi Bałuckiej, 70 letniej staruszce, mat-

---

Głosy.

Z niejakiem podobieństwem! Ha, ha, ha! Zniewaga bóstwa! Świętokradztwo!

Diofites (*wstąpiwszy na mównicę śród krzyków*).

Obywatele! (*Archont stuka laską*). Obywatele, pozwólcie mi rzec słówko. Za radą moją uchwalone zostało przed czterdziestu laty osobne prawo przeciwko bezbożnikom. Jeżeli usłuchaliście mnie wtedy, usłuchajcież teraz i rozpoznajcie winę oskarżonego, który może sam się do niej przyzna. Bez niego nie będziecie przecież o nim wyrokować (*wrzawa*).

Głosy.

Niepotrzeba! Niema winy! Atena domaga się sądu!

Archont.

Niech Metronomos przyprowadzi więźnia (*wchodzi podczas tych słów Protagoras*).

Protagoras.

Tylko przynieść go może, bo Fidyasz przed chwilą umarł (*burzliwy zgiełk*).

Głosy.

Umarł! Zabity! Mordercy! Zbiry!

Protagoras (*na mównicy*).

I ja mam dosyć powodów złorzeczenia tym, którzy do jego śmierci przyczynili się, ale, jako świadek jego zgonu, upewnić was mogę, że go nie zabito. Z rozpaczy zagłodził się dobrowolnie (*długo trwająca wrzawa*).

Głosy.

Zbrodnia! Hańba! (*Archont daremnie usiłuje przywrócić porządek*).

Protagoras.

Obywatele, będziecie mieli jeszcze dosyć czasu do potępienia winnych, a teraz pożegnajcie wielkiego człowieka żalem uroczystym i spokojnym (*ponowny hałas*).

Głosy.

Zaprowadźmy Menona do zwłok Fidyasza! Uciekł! Podły!

Archont.

W takich warunkach sąd obowiązków swoich spełniać nie może (*cisza*). Sprawa Aspazyi! Gdzie oskarżona?

Metronomos.

W celi więziennej Fidyasza.

Archont.

Niech się tu stawi (*Metronomos wychodzi*).

Tucydydes (*do Elpiniki szepcze*).

Traksa nie widzę.

Elpinika.

Czyżby nas zawiódł?

Tucydydes.

Trzeba go wyszukać! (*Elpinika oddala się*).

Alcybiades (*do Polignota*).

Ależ ta Elpinika żwawo się rusza. Mój kochany, nie należy porzucać kobiet, które jeszcze biegać umieją.

Polignotos.

Złość ją popędza. To ona wykopała dół Aspazyi! Poczwara!

Alcybiades.

Gdyby ci sędziowie mieli szczyptę rozumu i znajomości stosunków, powinniby mnie wezwać na biegłego w tej sprawie, byłbym najniezawodniejszym probierzem cnoty. Obywatelka bowiem ateńska, której ja nie pocałowałem, jest niewątpliwie przyzwoitą — Aspazyi zaś dopiero dziś dobrze się przypatrzę.

Polignotas.

Po to przyszedłeś?

ce Michała, mocno zajęło opinię publiczną. Zbrodniarka jest ciekawym okazem, łączącym skłonność do dewocyi ze zwierzęcym umysłem. Kiedy policya przybyła do jej domu, zastała dwie świece płonące na intencyę „jednej osoby, która nagłą śmiercią umarła“ — obok zakrwawionych rękawiczek. Choć do wyszukania sprawczyni wiele przyczyniły się okoliczności podniesione przez syna zamordowanej, a brutalny sposób zamachu pozostawił po sobie mnóstwo śladów niezgrabnie zatartych tak, iż policya złożyła raczej dowody obowiązkowej gorliwości, niż szczególniejszej bystrości — dzienniki krakowskie w śmieszny i rażący sposób unosiły się parę dni nad rzadkimi talentami organów bezpieczeństwa, wymieniając imiennie zasłużonych i robiąc z nich bohaterów w guście Gaboriau lub Roisgobey'a. Czy to jest rozmyślna grzeczność, czy też skutek wzruszeń godnych przedmiejskiej kumoszki, tego niepodobna rozstrzygnąć, w każdym jednak razie takie uniesienia stokroć lepiej nadają się do poufałej pogadanki przy kubku lub do zagrzebania w głębi osobistych wspomnień i pamiątek, niż do poważnych łamów pism na wskróś politycznych.

Na zakończenie podzielę się z czytelnikiem szczegółami rozmowy prowadzonej z osobą, która po skończeniu nauki uniwersyteckiej w poczuciu obowiązków powróciła do rodzinnego miasteczka, zapadłego kąta na prowincyi by jak najwięcej dobrego radą i czynem zdziałać dla swych współobywateli. Ludność miasteczka, nie dochodząca liczbą do półtora tysiąca, trudni się garbowaniem skór, powróżnictwem, szewctwem, garncarstwem i zbywa swe wyroby na okolicznych jarmarkach. Robi to, co robili jej ojcowie, dziadowie i pradziadowie, myśli i żyje nędznie, podobnie jak oni, boi się postępu, któryby zabił ich sposób wytwarzania, a nauczywszy się licho czytać, pisać i rachować w dwuklasowej szkółce, niema najmniejszego pojęcia o prawach i obowiązkach obywatelskich. Opiekę nad gminą sprawuje burmistrz — „łyk“ tradycyonalny, mądrzejszy od drugich, bo albo eks-wojskowy, albo pieniacz — przebiegły i chciwy władzy. Zapewniwszy sobie wybór obietnicami w rodzaju gruszek na wierzbie i powoli wszystkie urzędy obsadziwszy krewniakami, używa władzy w podwójnym celu: prześladuje swych przeciwników i nabija worek. A ma do tego dość sposobów z urzędu, przyczem na posiedzeniach rady stawia wnioski wygodne dla siebie i przeprowadza je z pogwałceniem regulaminu przy pomocy własnych kreatur. Panuje. Kontrolę nad nim trzyma wydział powiatowy — władza autonomiczna. Temu wydziałowi burmistrz przedkłada rachunki, budżet. Ale wydział uważa burmistrza za nieporadnego niedołęgę, za idyotę, który tylko z głupoty źle robi, albo patrzy przez szpary na jego uczynki, bo go potrzebuje. Tu w grę wchodzą polityczne ambicye szlachciców, chęć dostania się na krzesło poselskie, a przy wyborach właśnie pomoc naczelnika gminy nieoceniona. Bo wybory w miasteczku, to niepo rozumienie prawdziwe. Ciemny tłum wyborczy, który o instytucyach państwowych uczył się od woźnego z sądu, od sekwestratora, od pokątnych pisarzów wybiera wskazanych przez burmistrza prawa wyborców — słomiane figury. Ci udają się do powiatowego miasta i tam według polecenia głosują za tym lub owym wskazanym kandydatem. Przy wyborach czynna jest żandarmerya — dla utrzymania porządku — spełniająca to samo zadanie, które w większych miastach wykonywa przyrząd moralny, nazwany karnością obywatelską. Wynik takich wyborów odpowiada wymaganiom władz politycznych, duchowi rządowemu, ponieważ wpływowi członkowie wydziału powiatowego są gorliwymi zwolennikami arcylojalnych haseł. Naturalnie, że usłużny burmistrz korzysta z pobłażliwości, jaką darzy go rada powiatowa i drze łyka, ile może. Niekiedy jednak miarka przebiera się i gmina sama żali się na swego zwierzchnika. Wówczas wydział powiatowy musi wejrzeć w sprawę i załatwić ją w ten lub ów sposób. W przeciwnym razie trzeba kołatać do samego wydziału krajowego. Mogą jednak miesiące upłynąć, zanim wskutek takiej skargi zjedzie na śledztwo urzędnik — a burmistrz przez te miesiące nieprzerwanie sprawuje władzę satrapy.

Oto blada próbka naszych stosunków gminnych. Rzecz prosta, że nie należy jej bezwzględnie uogólniać, jak ten anglik, który przyjechawszy do Sewilli, słynnej podobno z urody mieszkanek, stanął w gospodzie u gospodyni rudej, brzydkiej i krzykliwej, poczem zapisał w dzienniku podróży, że w Sewilli wszystkie kobiety są rude, brzydkie i krzykliwe. Ludzie, wszędzie są dobrzy i źli — ustawa gminna mimo ogromnych braków, poruszanych niejednokrotnie na sejmie — ma dużo zalet. Chciałem tylko na konkretnym przykładzie wykazać, jak dużo u nas jest do zrobienia, jak płonne muszą być usiłowania towarzystw oświaty ludowej nie poparte poważnym wpływem kraju, jak wreszcie głęboko tkwią przyczyny nędzy i ciemnoty, potęgowane sobkostwem i złą wolą tych, którzy najwięcej mają obowiązku zakasania rękawów i wzięcia się nie na żarty do obywatelskiej roboty... Mówki programowe wiatr po polu rozniesie, kontusze wytrą się na łokciach o biesiadnicze stoły przy składkowych obiadach, chwała dziennikarska pójdzie pod sól i masło, a tylko prawdziwa zasługa około dobra ciemnych i nędznych tłumów wieśniaczych i małomieszczańskich bogata będzie w plony i trwale uwieńczy imię pracownika.

M.

Paweł Bourget.

IV.

Na Stendhalu kończy Bourget szereg swych studyów.

Henryk Boyle, znany w literaturze pod powyższym pseudonimem, zmarł, nie doczekawszy się sławy, a nawet rozgłosu w r. 1842—sam jednak przepowiedział, że dopiero w r. 1880 zostanie należycie zrozumiany i oceniony. Tak się też stało, a dzisiejsza krytyka francuska stawia go obok Balzaka, i chrzci mianem poprzednika współczesnego kierunku w piśmiennictwie. „Mamy dziś—powiada Bourget—szczególne nawet przywiązanie do tego wczoraj jeszcze nieznanego...“

Stendhal wychował się całkowicie na rewolucyjnej i naukowej literaturze w końcu zeszłego wieku. Montesquieu, Condillac, Cabanis, Helvetius... byli jego ulubionymi autorami i nauczycielami. Na nich wyrobił sobie ten ścisły, pozytywny sposób widzenia rzeczy, który charakteryzuje szkołę dzisiejszą. Młodość, podobnie jak Flaubert, przepędził na prowincyi, w gwałtownej, jak przystało na takiego rewolucyonistę, rozterce z rodziną i całem otoczeniem. Mając lat dwadzieścia, przyjął udział w wojnach napoleońskich, ze zwycięską armią przebiegł wzdłuż i wszerz Europę, i wypadki tych czasów pozostawiły w nim niezatarte wrażenia wielkich wysiłków i entuzyastycznej gorączki. Mi-

---

Alcybiades.

Jedynie. Przy tej sposobności zobaczyłem słońce, którego już dawno nie widziałem. Zaspane jak i ja. Helios musiał również hulać tej nocy. Będziesz u mnie wieczorem?

Polignotos.

Nie, jestem tak wstrząśnięty tym procesem, że nie umiałbym się bawić.

Alcybiades.

A no może i ja się wzruszę (*odchodzą*).

Diofites.

Skorzystajmy ze śmierci Fidyasza przy składaniu zeznań.

Hermipos.

Już o tem pomyślałem. (*Wchodzi Aspazya z Peryklesem, za nimi Sofokles i Sokrates*).

SCENA 3.

Ciż, Aspazya, Perykles, Sofokles, Sokrates i Ksantyp.

Archont.

Podsądna, zbliż się. Imię ojca twojego?

Aspazya.

Aksiochos.

Archont.

Wolny — niewolnik?

Aspazya.

Obywatel Miletu.

Archont.

Czem się trudniłaś przed przybyciem do Aten?

Aspazya.

Czytałam dzieła mędrców i poetów.

Archont.

A nadto?

Aspazya.

Śpiewałam i grałam.

Archont.

Jakie jest twoje zajęcie obecne?

Aspazya.

Wychowuję dzieci mojego męża, wspieram biednych i rozprawiam z filozofami.

Diofites (*do Hermipa*).

Doskonale.

Archont.

O czem?

Aspazya.

O wszystkiem, co stanowi przedmiot wiedzy ludzkiej.

Archont.

Przyznajesz się do win, zarzucanych ci w oskarżeniu?

Aspazya.

Oliwek z gaju Ateny nie rwałam, bo miałam je w swoim ogrodzie.

Archont.

Kto bronić cię będzie przed sądem?

Perykles.

Ja, jej mąż.

Archont.

Oskarżyciel Hermipos ma głos. (*Hermipos wstępuje na jedną mównicę, Perykles na przeciwległą drugą*).

(D. c. n.).

mo to pozostał wytrawnym analitykiem i ścisłym spostrzegaczem; w sławnym odwrocie 1812 r. skracał sobie czas, wczytując się w Cabanisa.

Bourget rozbiera w Stendhalu: człowieka, jego zmysł analityczny, kosmopolityzm i ważniejsze utwory. Boyle pozostawił w spadku swą *korespondencyę*, dziennik podróży po Włoszech, następnie *Memoirs d'un Touriste*, *Vie de Napoleon*, którego ubóstwiał, jako wcielenie energii i wspomnienie lat młodych, *Histoire de la Peinture en Italie* i powieści: *Chartreuse de Parme*, *Rouge et Noire*.

Boyle—pisze o nim Bourget—krył w sobie filozofa; ten ostatni nawet przeważa w nim ustawicznie. Myśl jego szukała niezmordowanie idei ogólnych, które starał się odnaleść w całej powodzi drobnych faktów i fakcików, jakie gromadzić i porządkować umiał z wrażliwością artysty i systematycznością filozofa. Od Monteskiusza już nauczył się zasady, że temperament i otoczenie tworzą człowieka i prawdę tę starał się uwidocznić w swych dziełach. Jak widzimy, Stendhal ma wszystkie cechy uczonych analityków.

Jego działalność pisarska przypada na początek epoki romantycznej; pozytywista ten jednak dalekim był od romantyzmu—łączyły go z nim wszakże niektóre nici. Romantycy marzyli o wielkich porywach, gdy on je przeżył; to też ich rozpalonej wyobraźni odpowiada u niego rodzaj czci dla energii i wysiłków woli. Gdy romantycy wielki żar swoich uczuć rozpraszali w marzycielskich widzeniach, Stendhal rozumiał, że mogą się zdarzyć jednostki, które pożądać będą nie marzeń, jakiemi się nie zadowolnią, lecz zechcą trawiącą ich energię przyoblec w czyn i dojść do rezultatów realnych. W ten sposób wyobrażał sobie rodowód typu buntowniczego, który—niezadowolniony z otaczającej rzeczywistości — szukać będzie ujścia dla gwałtownych pożądań w rewolucyi lub zbrodni.

Typ taki przedstawił właśnie w Julianie Sorelu, bohaterze *Rouge et Noire.* Sorel jest jednostką przerastającą o całą głowę swe otoczenie, zarówno pod względem umysłowych uzdolnień, jak i siły woli. Mimo atoli wykształcenia i energii jest proletaryuszem, skazanym na różne upokorzenia upośledzonego stanowiska i skrępowanym niedostatecznością środków materyalnych. Z tego położenia rzuca się w zbrodnię i ginie na rusztowaniu. Bourget wyjaśnia, o ile typ ten jest współczesnym, i robi uwagę, że dzisiejsza demokracya wytwarzaniu się takich lub podobnych jednostek sprzyja nader silnie. Sorel przejęty jest do głębi goryczą i pesymizmem, w którym Bourget widzi tragiczną jutrzenkę dzisiejszego rozczarowania...

„Wschodzi ona—powiada—ta zorza ze krwi i łez, a roztaczając się coraz szerszymi kręgami, podobna do rodzącego się dziennego brzasku, obrzuca swą czerwoną barwą najwyższe umysły naszego wieku, tych, którzy stoją u szczytów i ku którym oczy jutrzejszego pokolenia wznoszą się ze czcią...

Doszedłem w tej seryi studyów psychologicznych do piątej osobistości z liczby tych, które postanowiłem rozebrać z kolei. Charakteryzowałem poetę Baudelaire'a, historyka — Renana, powieściopisarza — Flauberta, filozofa—Taine'a i wreszcie jednego z tych, w których krytyk i artysta ściśle się z sobą łączą, i znalazłem u tych pięciu francuzów miary niepośledniej, jedną filozofię zniechęcenia i powszechnej nicości. Zmysłową i zepsutą w pierwszym, wysubtylizowaną i uduchowioną w drugim, wyrozumowaną i gniewną w trzecim, wyrozumowaną także lecz zrezygnowaną w czwartym; taż sama filozofia jest również ponurą, energiczniejszą jednak u piątego...

Czy ten głęboki niesmak najwspanialszych umysłów wobec bezpłodnych wysiłków życia jest usprawiedliwiony? I czyż człowiek, cywilizując się, wydoskonalił tylko swe barbarzyństwo i nędzę zrobił bardziej wyrafinowaną? Na to trawiące nas pytania jedni wydadzą w odpowiedzi okrzyk bólu, drudzy znajdą ją w wierze i nadziei. Jest to także rozwiązaniem pytania — kończy Bourget — gdy chorobie zwątpienia przeciwstawi się, na wzór Boyle'go, męską energią człowieka, który, widząc czarną bezdeń przeznaczenia i nie znając jego względem siebie wyroków—nie obawia się..."

Pozostaje nam jeszcze rozpatrzeć artystyczne utwory Bourgeta—nie stracimy atoli na to zbyt wiele czasu.

Połączenie pracy analitycznej i twórczej w jednym pisarzu uważa on za pożądane i idealnemu temu wymaganiu sprostać usiłuje—jego powieści wszakże i poezye stoją o wiele niżej od jego studyów krytycznych. Mają te oba rodzaje działalności pisarskiej autora *Zarysów psychologii współczesnej* wspólne poniekąd zalety i wady. I tu i tam celuje on głębokością i ścisłością analizy psychicznej, nie rozwija jednak konsekwentnie rozbieranych zagadnień i lubuje się w stawianiu tajemniczych zagadek. Wady tej metody w studyach krytycznych mogli zauważyć czytelnicy już z powyższego przedstawienia. W utworach artystycznych skutkiem tego, charaktery powieściowe nie mają należytej pełni psychicznej, budowie zaś artystycznej brak wykończenia. Zaletą autora jest piękny język i pewna świeżość w obrazowaniu.

Na wiosnę w roku bieżącym zyskała znaczny rozgłos powieść Bourgeta p. t. *Cruelle Enigme.* Rozgłos ten przypisujemy głównie ustalonej już sławie autora na polu krytyki literackiej. Powieść, wzięta sama w sobie, jest psychologicznem ćwiczeniem, w którym ani temat nie jest ściśle i logicznie rozwiniętym, ani charaktery z należytą prawdą nakreślone, ani budowa artystyczną.

Autor chciał w niej powiedzieć, że kobieta rozkochana naprawdę, gorąco i namiętnie—oddać się jednak może w przystępie kaprysu, z powodu pewnych skłonności lub nawyknień — drugiemu, oddać na chwilę, przez zapomnienie! Fizyologiczno-psychologiczny wypadek zrozumiały zupełnie. Autor miał dość talentu i zdolności badawczych, ażeby go takim uczynić. Nie możemy atoli powiedzieć, ażeby charakter grzesznej kochanki, pani de Sauve (w beletrystyce francuskiej kochankami są zazwyczaj mężatki) był równie zrozumiałym w całości. Jeszcze mniej wytłomaczonym jest typ Aleksandra Huberta, młodego człowieka, który w zepsutym Paryżu wyrasta na skończonego cherubina i pierwszą płomienną miłością pała ku swej bogdance. Cała ta sielanka posiada wiele uroku; przesilenie jakie później następuje—Aleksander bowiem dowiaduje się o przewinieniu swej ukochanej i ona mu je sama we łzach wyznaje—jest wielce tragiczne. Młody człowiek po długiej walce wewnętrznej przychodzi do fizyologicznego i psychologicznego rozumienia tej zagadki, ponieważ zaś trawi go wciąż gorąca miłość, teraz już mniej serafiiczna, w naturalnym więc biegu rzeczy mógłby przebaczyć (chociaż autor zrobił go umyślnie niewinnym jak szesnastoletnie dziewczę) bez żadnego uszczerbku godności własnej, ile że młoda grzesznica kocha go wciąż prawdziwie i gorąco, spowiada się szczerze, odbywa pokutę—zasługuje więc na grzechów odpuszczenie na tym smutnym padole nędz ludzkich. Autor wolał jednak w sposób dość banalny rzucić napowrót Aleksandra w objęcia pani de Sauve, oraz rzecz zagmatwać, ażeby tylko módz wyrzec pod koniec słowo: „okrutna tajemnica"—gdy tajemnicy żadnej tu niema. Powieść kończy się wykrzyknikiem, z którym nie bardzo do twarzy psychologowi:... miłość—dlaczego i skąd ona przychodzi? Pytanie bez odpowiedzi—zdrada kobiety, słabość mężczyzny, życie samo—*cruelle enigme*!

Daleko więcej wdzięku ma szkic powieściowy, pomieszczony w zbiorze nowel Bourgeta, wydanych w jednym tomie (1884). Nosi on tytuł *l'Irréparable.* Bohaterką jest młoda dziewica, smukła, i złotowłosa, córka bogatych rodziców, żyjąca na wielkiem świecie paryskim—Noémi Hurtzel. Wyróżnia się ona z pośród swych rówieśnic nietylko urodą, lecz i większem wykształceniem, oraz samodzielnością charakteru. Żyje zresztą wesoło i czar rozsiewa dokoła. Otoczona miłosnemi intrygami, w których matka jej także bierze czynny udział, czysta Noemi staje się pastwą nędznego rozpuśnika i uwodziciela z zawodu niejakiego pana Tarawal, człowieka żonatego, który, rozstawiwszy zręcznie sidła, w dogodnej chwili zgwałcił najbrutalniej młodą dziewczynę. Ten mimowolny błąd, nie do naprawienia, wpływa na całą istotę Noemi i wisi jak przekleństwo nad jej całą przyszłością. Po długim bólu wewnętrznym i przygnębieniu poznaje ona na wodach młodego, bogatego anglika, zatopionego całkowicie w sztuce, zagorzałego zwolennika „prarafaelistów." Wiotka postać Noemi, jej blada cera i uwaga, z jaką słucha jego nieskończonych wynurzeń estetycznych, wszystko to ściąga lorda codziennie do willi, zajmowanej przez bohaterkę i jej matkę. Noemi poddaje się czarowi tych czystych zwierzeń i nie spostrzega nawet, jak głęboko pokochała swego częstego gościa, w którym znalazła i umysł pokrewny, i serce zdaje się, w takt jedon bijące. W dodatku jest ona także na pół angielką z rodu, właściwym jej bowiem ojcem był pewien anglik, z którym matka jej czas jakiś utrzymywała stosunek miłosny... Staje tedy przed nią myśl, potrącona przez matkę, o możliwości połączenia się dozgonnymi ślubami z idealnym prarafaelistą. Pod wpływem tej myśli traci ona szczęście i spokój—czuje bowiem, że błędu swego wyznać nie będzie mogła, a kłamany związek bez zupełnej jedności dusz byłby dla niej niepodobieństwem. Przyjmuje więc rękę jednego z oświadczających się, nim jeszcze młody lord zdobył się na jakieś miłosne wyznanie, opuszcza wraz z matką nadmorską siedzibę i żyje w ciągłej gorączce rozpaczy nad złamanem życiem swojem i lorda. Nadchodzi dzień ślubu, para młoda idzie do ołtarza, po powrocie jednak do domu Noemi, czując, że krok ten przechodzi jej siły i że nie będzie w stanie dać szczęścia człowiekowi, którego zaślubia — zabija się, pozostawiając krótki list do lorda i przyjaciółki, której swą tajemnicę wyznała. Przyjaciółka ma oddać list lordowi, który trawi się gdzieś z daleka w rozpaczy i osamotnieniu... Po tym tragicznym wypadku okazuje się jednak, że anglik nie kochał bynajmniej Noemi, lecz tylko swą sztukę, że więc młoda dziewczyna, jak powiada autor, zabiła się *pour rien*—napróżno. Znowu więc *cruelle enigme!* Rzecz zawsze kończyć się musi jakąś dziwną zagadką...

Drugi szkic powieściowy — *Deuxième amour*—opowiada nam dzieje miłości pewnego trzydziestokilkoletniego młodzieńca pana Laurence i pewnej pani de Velde. On rozpraszał się dotąd na miłostki bez treści i celu, ona—wydana za mąż za człowieka, którego nie kochała i który był po prostu bankowym szalbierzem, sądziła, że znajdzie nareszcie miłość i szczęście w pożyciu z wybrańcem serca. Kobieta szlachetna i bogato obdarzona od natury porwała wszystkie więzy konwenansu i—zawiodła się. Okazało się, że kochankowie nie odpowiadają sobie charakterami i usposobieniem. Gdy fakt ten stał się już aż nadto dla nich widocznym, pani de Velde poznaje pana Laurence i dwoje tych ludzi,

szukających dotąd naprożno prawdziwej miłości znajdują wreszcie ten talizman. Cóż, zdaje się, prostszego nad to, że skorzystają ze szczęścia, tem bardziej, że jego przyjaciel Gerard a mąż przybrany pani de Velde, jak się z toku rzeczy okazuje, będzie tylko wysoce zadowolniony z rozwiązania stosunku, który podtrzymywać mu nakazuje jedynie uczciwość. Rozwiązanie takie byłoby wszakże zbyt optymistycznem, niezgodnem z pesymistycznem założeniem autora—to też Bourget kończy powieść w ten sposób, że pani de Velde pisze sentymentalny list do Laurenca, po wyznaniu już przezeń miłości. W liście tym oświadcza mu, że lubo kocha go całą duszą—wie jednak, że nie dałaby mu szczęścia, postanawia więc zgubić się, tak, ażeby jej nikt nie mógł odnaleść, i w jakim głuchym kącie, długiego jeszcze prawdopodobnie żywota dokonać. Zakończenie takie wydaje się autorowi bardzo rozumnem, w istocie zaś harmonizuje ono tylko z jego pesymistycznym rozdźwiękiem, który ma być najistotniejszym wyrazem samego życia...

Nie będziemy przytaczali treści sześciu profilów (*Profils perdus*), zamieszczonych także w tomie powyższym. Jest między niemi parę bardzo wdzięcznych, wszystkie zaś owiane są smętną jakąś poezyą i mają w swej podstawie ten sam pesymistyczny koniecznie pogląd na rzeczy.

Pozostał nam tom poezyi, o którym najmniej mamy do powiedzenia. Są to wyłącznie prawie miłosne kwilenia, zaprawione sosem melancholijnym, bez głębszych motywów. Autor nie wybiega prawie po za ten krąg zaczarowany, chyba dlatego, żeby powiedzieć, że nieszczęśliwymi nie są wcale ci, którzy mrą z nadmiernej pracy. głodu i chłodu, lecz ci tylko, „co są ludzkości sercem,“ gdy inni są tylko jej rękami... (wiersz do Cladela). Nie bez słuszności nazwał sam autor poetyczne swe żale „kaprysami chorego i rozgrymaszonego dziecka...“ Najpiękniejszym jest jeszcze rzewny wiersz „Pożegnanie“ kochanki, która poetę zdradziła, zakończony denerwującem znowu „Gdybym wiedziała.“

Edward Przewóski.

Z POWODU DRUGIEGO TOMU „KAPITAŁU“ MARKSA.

Przed nami — II tom *Kapitału* Marksa. Kładziemy nacisk na fakt, że dzieło to rzeczywiście mamy przed sobą, że nie ulegamy pod tym względem halucynacyi i że dość nam rzucić okiem, by się upewnić, iż ów tylokrotnie zapowiadany II tom istotnie w roku pańskim 1885 od narodzenia się Chrystusa, a 26 od narodzenia się pierwszego tomu — wyszedł z druku w Hamburgu, nakładem O. Meissnera, a staraniem sekretarza Marksa — Fryderyka Engelsa.

Niecierpliwość, z jaką oczekiwano dalszego ciągu tej najgłośniejszej może pracy ekonomicznej po *Bogactwie narodów* Smitha, łatwo zrozumieć. Dzieło bowiem, które tak olbrzymiej w naukowym i nienaukowym świecie narobiło wrzawy, które tyle zaciekłych wywołało sporów, znalazło tylu zapalonych wielbicieli i zaciętych przeciwników, jest jedynie obszerną rozprawą ekonomiczną, fragmentem, pozwalającym zaledwie domyślać się poglądów autora na kwestye w rozprawie tej nieporuszone, a ściśły z nią związek mające.

Nie dość na tem. Teorya Marksa w dotychczasowym swym kształcie nietylko wymagała koniecznie uzupełnienia, lecz pozostawiała punkty niewyjaśnione, twierdzenia nieuzasadnione i — co ważniejsza— doprowadzała w jednem z zasadniczych zagadnień do wniosków wręcz sprzecznych z faktami, które praktyka życiowa co krok nasuwa, a które obserwacya naukowa dawno już dostrzegła.

Słabe te strony swej teoryi Marks sam zresztą wskazał i, obiecując, że w dalszym ciągu dzieła rzecz całą należycie wyjaśni, wytrącił tym sposobem oręż z rąk krytyków, którym nie pozostawało już nic innego jak tylko —

albo przekręcać jego twierdzenia i walczyć nie z niemi, lecz z niedołężnymi wytworami ich własnej fantazyi;

albo dla potrzeb chwili wyprzeć się tak zwanej klasycznej ekonomii, którą Ricardo i Smith stworzyli, a która Marksowi posłużyła za punkt wyjścia;

albo wreszcie uderzać na niektóre historyozoficzne raczej, aniżeli ekonomiczne i rzeczywiście zbyt pospieszne przypuszczenia autora *Kapitału* co do okresów ekonomicznego rozwoju i ukształtowania się stosunków ekonomicznych w przyszłości.

Może kiedyś zajmiemy się udowodnieniem, iż wszystko niemal, co przeciw Marksowi napisano, do jednej z tych trzech kategoryi da się zaliczyć; tymczasem zaś dodamy tylko, iż są jeszcze i tacy jego przeciwnicy (na miano krytyków już oni nie zasługują), co zamiast wynajdywać słabizny teoryi, których sam autor nie wskazał, zgadzają się z nim po prostu, że pewne punkty w jego wywodach wymagają dalszego uzasadnienia, jednocześnie przecząc stanowczo, aby ono było wogóle możliwem; z długiego zaś opóźniania się dalszego ciągu *Kapitału* wnioskują, że Marks z labiryntu, w który go własna teorya wprowadziła, nie może się wyplątać.

Lecz wyłóżmy krótko tym czytelnikom *Prawdy*, którzy Marksa nie znają, na czem owa jego teorya polega i jakie to jej punkty, z faktami sprzeczne miał on wzmocnić.

Można ją streścić w dwóch twierdzeniach: 1) że wartość wymienna każdego przedmiotu mierzy się ilością tkwiącej w nim *ogólno-ludzkiej a społecznie niezbędnej pracy*; 2) że z dwóch czynników, które w produkcyi należy rozróżniać, mianowicie: *kapitału stałego*, obejmującego budynki fabryczne, maszyny, materyały surowe i pomocnicze itd. oraz *kapitału zmiennego*, obracanego na zakupno roboczej siły, kapitał stały przenosi się na dany wyrób bez żadnej co do wartości zmiany, a tylko kapitał zmienny, t. j. kupiona przez kapitalistę robocza siła, przechodzi w wyrób jako wartość większa od tej, w jakiej została nabytą.

Dla wyjaśnienia pierwszego twierdzenia dodajmy jeszcze, że pod pracą „ogólnoludzką“ Marks rozumie pracę „samą w sobie“ bez względu na jej specyalny charakter (np. pracy stolarskiej, ślusarskiej itd.), który nadaje tylko przedmiotowi wartość użytkową, oraz, że „pracą społecznie niezbędną“ nazywa się, według niego, działalność ludzka, zużywana na wyrabianie przedmiotów społeczeństwu potrzebnych i uskuteczniana sposobami i narzędziami, odpowiadającemi poziomowi techniki w danym czasie.

Co do drugiego twierdzenia, to oczywistem jest, iż np. ani len przez to, że przechodzi całkowicie w sztukę płótna, ani warsztat tkacki przez to, że przechodzi w nią częściowo, w miarę zużycia, wartości swej zmienić jeszcze nie mogą, a raczej ją zmieniają o tyle tylko, o ile zachodzi potrzeba użyć pracy ludzkiej, aby z lnu płótno utworzyć. Otóż źródło tej pracy, siła robocza, sama jedna posiada tę cudowną własność, iż może wytworzyć w ciągu dnia określonego wartość większą od od tej, którą robotnik spotrzebowywa w postaci pożywienia, odzieży, mieszkania itp. Siła ta bowiem jest także towarem. Reprodukcya tego towaru kosztować może dziennie w danem miejscu i w danym czasie cokolwiek mniej, w innem miejscu i w innym czasie cokolwiek więcej, lecz w rezultacie *zawsze mniej*, aniżeli wartość wyprodukowana przez nią w ciągu dnia roboczego. Innemi słowy: robotnik jest zawsze w stanie więcej w ciągu dnia roboczego wytworzyć, aniżeli zdoła zarobić, i właśnie różnica między — że tak powiemy — „wyrobkiem“ a „zarobkiem“ stanowi tak nazwaną przez Marksa „wartość dodatkową,“ owe niespożyte źródło dochodów dla kapitalistów, przedsiębiorców i właścicieli ziemskich.

Nasuwa się tu jednak następujący, zasadniczy i przewidziany zresztą przez Marksa zarzut:

„Jeżeli rzeczywiście ani materyał surowy, ani maszyny, ani budynki fabryczne, lecz tylko siła żywa, t. j. robotnicy przysparzają wartości dodatkowej kapitaliście, to najprzód kapitaliści powinniby najchętniej rzucać się na takie przedsiębiorstwa, gdzie kapitał stały podrzędną, a zmienny główną gra rolę, a następnie równe kapitały, o ile zatrudniają nierówną ilość robotników, powinny nierówne przynosić dochody, zależnie od stosunku ich części stałej do zmiennej. Przy tej samej ogólnej cyfrze kapitału dochód z przedsiębiorstwa powinien być tem większy, im więcej zatrudnia ono robotników.“

Otóż fakty stanowczo przeczą tym wywodom. Dotychczas nie dało się zauważyć, aby przedsiębiorstwa, wymagające przy tym samym kapitale większej ilości robotników, większe przynosiły zyski; i na odwrót, przyjęto oddawna jako pewnik niezbity, że jednakowe kapitały przynoszą, średnio biorąc, w jednym i tym samym czasie jednakowe dochody, bez względu na to, czy mniej, czy więcej robotników zatrudniają.

Nie koniec na tem. Wiadomo także, że ceny materyału surowego ulegają corocznie zmianom, zależnym od urodzaju i innych okoliczności, przyczem zmiany te nie zawsze odbijają się na cenie otrzymanego z tego materyału wyrobu. Oczywista rzecz, że podwyższona cena materyału surowego zwiększa dochód właściciela ziemskiego i dzieje się to ze szkodą fabrykanta, o ile tenże niema możności ceny wyrobów odpowiednio podwyższyć lub płacy robotnikom zmniejszyć. Renta zatem z ziemi i dochód z kapitału — owe dwa działy, na które rozpada się wartość dodatkowa, są we wzajemnej od siebie zależności, i, o ile tej zależności nie rozpatrzymy, wywody będą, jeśli nie fałszywe, to niezupełne. Marks i tej kwestyi w pierwszym tomie nie poruszył, obiecując rzecz o rencie w dalszym ciągu swej pracy wyłożyć.

No, a jakżeż w tym drugim tomie — zapytają czytelnicy od lat dwudziestu kilku wyczekujący— renta zapewne już tam dokładnie wyłożona? stosunek jej do dochodu od kapitału ustalony? fakt równych dochodów od jednakowych kapitałów z twierdzeniem, że tylko siła robocza jest źródłem dochodów — pogodzony? Otóż z zadziwieniem usłyszą odpowiedź, że o tem wszystkiem w drugiem tomie *Kapitału* niema jeszcze ani słowa.

Przeglądamy pospiesznie spis rozdziałów i przed oczami naszemi przesuwają się tytuły: obieg kapitału prywatnego, obrót kapitału prywatnego, czas obrotu i obiegu, dalej obrót, obieg i czas obrotu kapitału społecznego, dalej jeszcze, krążenie towarów, krążenie pieniężne — wszystko rzeczy bardzo piękne, bardzo ciekawe, lecz nie o to nam chodzi. Przerzucamy zatem kolejno kartki... Nowe rozczarowanie... O rencie ani słowa... Na rozwiązanie zagadki o kapitale, co, ciągnąc dochód jakoby tylko z siły roboczej, nie przynosi go jednak bynajmniej w stosunku do niej — nie możemy jakoś natrafić.. Zaglądamy do przedmowy Engelsa. Wyczytujemy z niej,

że Marks bardzo starannie i po kilka razy rzecz każdą opracowywał i dlatego przez lat kilkanaście dalszego ciągu nie wydawał, że przy tem niewyraźnie, niedbale i niesystematycznie pisał, wskutek czego i jego sekretarz na przygotowanie drugiego tomu kilka lat musiał poświęcić. Wreszcie znajdujemy niepotrzebną, nieprzekonywającą, powiedzmy nawiasem, niesumiennie ze strony Engelsa prowadzoną polemikę ze zwolennikami Rodbertusa o to, komu się należy zasługa wygłoszenia po raz pierwszy teoryi o wartości dodatkowej. Spór ten kończy słuszna zresztą ze strony Engelsa uwaga, że punkty wspólne teoryom obu uczonych wypowiedzieli już dawniej, choć mniej ściśle, Smith i Ricardo i że tego tylko uważać można za twórcę teoryi wartości, kto wyjaśni należycie, jak wartość dodatkowa rozpada się na rentę i dochód z kapitału i dlaczego kapitały, choć tylko z siły roboczej ciągną zyski, przynoszą w rzeczy samej pewien stały średni dochód, niezależnie od zużytej, żywej roboczej siły.

Czy Marks wszystko to wyjaśnił? Nie wyjaśnił w pierwszym tomie — odpowiada Engels — nie wyjaśnia i w drugim, bo mu na to przyjęty przezeń układ dzieła nie pozwala, lecz poczekajcie kikanaście miesięcy, a wyjdzie trzeci... Tom trzeci dopiero na wszystkie kwestye nowe potoki światła przeleje „und dann“ — tryumfująco zapowiada Engels — „wird es von einem Oekonom Rodbertus v. Jagetzow weniger die Rede sein.“

Ale cóż robić ostatecznie! Czekaliśmy cierpliwie lat kilkanaście na tom drugi *Kapitału* — poczekamy kilkanaście miesięcy, które bodajby się tylko w lata nie zamieniły, na trzeci. Nie możemy jednak nie przyznać, że cała ta historya zakrawa nieco na naigrawanie się z dobroduszных czytelników. Teoryj tak doniosłego znaczenia, mających służyć za klucz do roztrzygnięcia palących zagadnień społecznych, nie podaje się co lat kilkanaście po łyżeczce od kawy, i albo się je wypowiada w całości, albo nie wypowiada ich wcale.

Jeżeli można jeszcze usprawiedliwić Marksa potrzebą dalszych dociekań, zresztą chorobą lat ostatnich, to postępowanie jego sekretarza Engelsa jest nie do usprawiedliwienia. Wymówka jego, jakoby przyjęty przez Marksa system takiego właśnie, a nie innego układu części wymagał— jest po prostu niedorzecznością. Od autora wymagamy bowiem przedewszystkiem, aby przy wykładzie nie pozostawiał po za sobą punktów niewyjaśnionych. System, przyjęty przez Marksa, warunkowi temu zadość nie czyni, jest więc logicznie fałszywym, i jeśli wydawca przez cześć dla zgasłego mistrza swego nie poważył się zmienić ugrupowania pozostawionego mu materyału, to powinien był zamiast polemizować w przedmowie z Rodbertusem, przedstawić lepiej w ogólnym zarysie całokształt teoryi Marksa. Obowiązku tego względem czytelników Engels nie wypełnił i fanatyczni wyznawcy a zarazem męczennicy prawd przez Marksa głoszonych mogliby zapytać jego sekretarza: jakim prawem chowa on pod korcem światło, jeśli je w rzeczy samej posiada? Przeciwnicy zaś gotowi dodać, że ekonomista ten nie teoryę nową wygłosił, lecz jak drugi sfinks niebezpieczną tylko zagadkę światu rzucił.

Zygmunt H.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Alfred Konar. **Hrabina Sylwia**, sztuka w 3 aktach, Warszawa.

O ile nam wiadomo, autor stawia pierwszy krok na drodze twórczości dramatycznej, albo jeden z pierwszych. Gdybyśmy zresztą nic wiedzieli o tem z bibliografii, uprzedziłby nas sam utwór, noszący na sobie wszystkie cechy pierwocin tego rodzaju: melodramatyczność w scenach, lubieżność w stosunkach, gwałtowną zmienność w charakterach, niewprawę w technice i pośpiech w stylu. Ale o co chodzi?

W jakiej sferze społecznej i towarzyskiej wątek dramatu się rozsnuwa—oznaczyć niepodobna, chyba nazwać ją można brudną. Hr. Henryk Krasnohorski poślubia Sylwię, córkę starego rozpustnika, dziewicę idealną, rozmarzoną, kochającą i wierzącą. Szargał on się przedtem w hulankach i miłostkach, ale ma dobrą chęć przyzwoitego życia. Szybko wszakże posag żony stracił, i weksli nafałszował. Za radą ojca żony tajemnie ucieka za granicę i chwilowo zatrzymuje się w miejscu kuracyjnem, gdzie odnawia związek z dawną kochanką Julią. Tamże gości plugawa w ustach i rozwiązła w czynach prezesowa z ułomną córką, oraz niepoń tegoż gatunku Alfred. Podczas gdy całe towarzystwo bawi się z rozsznurowaną swobodą przebywa Sylwia z hr. Augustem, któremu oddała się po ucieczce Henryka, częścią przez zemstę, a częścią z obawy przed niedolą. Mąż z początku nie wierzy jej wyznaniu, wreszcie rzuca jej parę obelżywych wyrazów, których wylew wstrzymuje urzędnik policyjny, mający polecenie zaaresztować go wraz z żoną jako bankruta, zbiega i fałszerza. Ponieważ hr. August nie chce plątać się w tę awanturę i skutkiem tego radby opuścić kochankę, Sylwia więc probuje przekupić urzędnika złotem i... ciałem, a gdy go nie wzruszyła, „wypija do dna flakon morfiny.“ Na szczęście była to morfina z Warszawy, gdzie „apteki delikatnie wszystko przyspasabiają“ a ich „lekarstwa nigdy nie szkodzą.“ Doktór też bez trudu uratował otrutą, bo zaledwie zbadał jej puls, zaraz odzyskała przytomność i zdrowie. Skoro zaś ojciec jej szepnął zięciowi, że Sylwia tylko zmyśliła swój stosunek z hrabią, małżeństwo związało się na nowo. Cóż na to powiedział urzędnik policyjny? Nie wiadomo.

Już zapewne w tem treściwem przedstawieniu czytelnik dostrzegł, jak dalece dramat p. Konara przesiąknięty jest tym pierwiastkiem, który nazwano „tłustością“ życia, a nadto—jak w nim jaskrawizny wydobywane są kosztem prawdy. Sylwia, zakochana w swym mężu, mająca marzenia niewinnej gołąbki, gdy usłyszała o jego ucieczce i łotrowstwach, woła do hr. Augusta: „Mówisz, żo jest fałszerzem, bankrutem, ale ja go kocham. *I wsparta na ramieniu zbrodniarza*, przejdę świat cały *dumna z tego, że mi pluć w oczy będą.*“ Dziwna ta w ustach niepokalanej kobiety przysięga wkrótce zamienia się na przyrzeczenie sprzedaży swego ciała hrabiemu, jeśli mąż ją istotnie zdradza. „Nie do Włoch jedziemy—powiada, *zanim* się jeszcze przekonała—lecz do Paryża do Mobilu.“ Również *przed* zbadaniem wiarołomstwa Henryka oddała się Augustowi. Szczytem wszakże spodlenia w tej marzycielce jest jej propozycya zrobiona urzędnikowi policyjnemu. „Nie chcesz — mówi — za złoto sprzedać twego honoru (nie aresztować), a więc ja za wolność wstyd mój ci oddaję. Jesteś silny i zdrowy *(zrzuca z siebie stanik)*, patrz jam młoda i piękna, będę twoją, jak długo zechcesz; sprzykrzę ci się, to jak zwiędły kwiat rzucisz mię do rynsztoka; obawiasz się twych zwierzchników — i każdemu z nich potrafię się spodobać (zakrywa się— słychać grzmoty.) Te „grzmoty“ są paradne, paradniejszym od nich chyba mąż, który po tem wszystkiem „klęka u nóg Sylwii i całuje jej ręce.“

Takie okropności i nieprawdopodobieństwa nasuwają się zwykle pod pióro początkujące, przebaczamy więc je autorowi. Ważniejszą jest sprawa jego środków artystycznych. P. Konar posiada dużo zapału, ale wylewa go tak pospiesznie i nieuważnie, że więcej w jego utworze jest talentu, niż pracy. Tej pracy tak mało, że uwierzylibyśmy autorowi zupełnie, gdyby nam powiedział, że *Hrabinę Sylwię* stworzył w tramwaju podczas kilku przejazdów z Mokotowa do Wolskich rogatek. Porównawszy np. raz miłość do kwiatu, przeżuwa to porównanie aż do znudzenia, chociaż ma język dość zasobny. W kilku wierszach umie trzy razy: „runąć w przepaść,“ zapominając, że pisarz dbały nie powtórzy nigdy żadnego porównania w swych dziełach, a tem mniej w jednem, że rozmaitość wyrażeń, obrazów i przenośni jest niezbędnym warunkiem artyzmu. Artyzm ten wymaga również logiki w środkach językowych. Gdyby np. p. Konar pisał uważniej, nie powiedziałby: „*iskra* mojej miłości starczyła, aby wskrzesić wszystkie te *skarby,*“ bo 1) iskra nie „wskrzesza,“ a 2) „skarbów“ wskrzesić nie można. Podobnież odrobina zastanowienia ustrzegłaby autora od wkładania w usta Sylwii zdań łacińskich.

Ostateczne wrażenie, jakie dramat powyższy w nas zostawił, jest takie: p. Konar w pojedynczych błyskach zdradza talent, który może rozwinąć, ale i zmarnować w utworach pośpiesznych i niedojrzałych. Horacy radził, ażeby każde dzieło obrabiać „aż do paznokcia;“ chociaż rada ta wywołała wiele martwych „sztuczek,“ dotąd pozostaje słuszną. Natura daje ludziom talent z ostrzeżeniem: albo go powiększycie pracą, albo zmarnujecie niedbalstwem. Co kto woli. A co woli p. Konar—zobaczymy później.

H.

LIBERUM VETO.

Historya o kancelliście, który zjadał opłatki, i o panach greckich, którzy rabowali domy niewolników. — Co zrobić z wygnańcami. — Morał dla bliźniego. — P. „Ludwig“ warszawski i potrzeba ukształcenia go w Madrycie. — „Śmiech dla łez.“ — Pozostałość ze składek na powodzian. — Oryginalny kraj. — Oczekiwanie uniwersytetu na obłąkanego. — Chmielowski jako kandydat na profesora.

Surowy naczelnik kancelaryi siedział pewnego dnia w wygodnym fotelu i przeglądał podręczną książeczkę wydatków biurowych. Nagle przy jednej liczbie zmarszczył się:

— Panie Müller!

Pan Müller stanął przed zwierzchnikiem.

— Co to znaczy, że spotrzebowywa się coraz większa ilość opłatków?

— Nie wiem, sądziłem nawet, że teraz zużywamy mniej.

— Zbadaj pan tę tajemnicę.

Rzeczywiście p. Müller zaczął badać tę „tajemnicę“ sumiennie. Przedstawiała ona dla niego sprawę: bo jeśli z kancelaryi odprawiano mniej niż zwykle „papierów,“ czemuż rozchód opłatków, służących do zaklejania kopert, był większy? Przez jakiś czas śledztwo nie rozwiązywało zagadki; nareszcie raz p. Müller spostrzegł, że stojące przy kanceliście pudełko, świeżo napełnione opłatkami, było niemal próżnem. Ha, jest winowajca! Kazano go natychmiast zrewidować, ale w odzieży nie znaleziono nic, prócz kwitów zastawowych.

— Gdzie pan podziałeś opłatki? — krzyknął wzburzony p. Müller.

— Zjadłem je z głodu — odrzekł kancelista.

Nieszczęśliwy ten był niemcem. Czy go p. Pindter wystawi jako ofiarę... polaków, nie wiem, ale się spodziewam. W mozolnej bowiem pogoni za argumentami, usprawiedliwiającymi bodaj pozornie haniebnej sławy edykt pruski, wynaleźli niemcy dwa: potrzebę obrony politycznej i ekonomicznej. Pierwszy—według którego 47 milionów ludzi uzbrojonych przywilejami i bagnetami boi się 30,000 bezbronnych—niech idzie na szubienicę, na której wisi głupota z niegodziwością; ale drugi zasługuje na obejrzenie. Niemcy po 20 latach chwały uczuli, że mają za duże gęby, żołądki, głowy, nogi, że nie mogą wszyscy dostatnio odziać się i nakarmić. Objaw bardzo naturalny! Utrzymywanie milionowej, wiecznie gotowej do boju armii, która pompę podatkową zapuściła już do najniższych warstw ludności i wydobywa z nich krew—to dobrobytu nie stworzy. Trzeba więc ratować się „przemysłem.“ W starożytnej Grecyi niektórzy arystokraci dozwalali swym niewolnikom pracować na własną rękę za opłatą pewnego czynszu. Ale gdy panom pieniędzy zbrakło, plądrowali domy swego ludzkiego inwentarza i zabierali wszelki dorobek. Podobnie postępują prusacy. Wygnanie 30,000 ludzi, zmuszonych w ciągu kilku tygodni wyprzedać swoje ruchomości i nieruchomości, domy, zakłady, towary, przedsiębiorstwa—naturalnie sprzedać za bezcen—to dla nabywców tego łupu, niemców, niezły interes. Dzięki tej „operacyi“ kancelista, który z głodu zjadał opłatki, może posiąść sklep w Poznaniu lub skład drzewa w Gdańsku. Ponieważ zaś moralność jest kratą żelazną dla słabych, a siatką pajęczą dla silnych, więc kirasyer pruski wcale o jej głos nie dba.

Tymczasem wygnańcy napływają do nas obficie, spotykając dużo współczucia, ale żadnej pomocy. Zabawne są wyrzuty dzienników, które wzajemnie wykłuwają sobie oczy ich losem, wyrzucając bliźnim, że nic nie robią dla ratowania nieszczęśliwych. *Wiek* surowo potępia „to zasklepienie się w biernej bezczynności pod wygodnym pretekstem, jakoby z góry przewidzianym, że wszelkie starania na legalnej drodze nic znajdą u władzy poparcia,“ ale nie daje ani rady, ani przykładu. Co zrobić? Ogłuszeni ciosem daremnie szukamy na to pytanie odpowiedzi. Zebrać składki, zająć się dostarczeniem pracy wypędzonym—i owszem, niech tylko *Wiek* we własnej naganie a naszej bezczynności poprze czynem jedno swoje słówko: „jakoby.“ Lepszą wagę ma jego zachęta do walki z niemcami. „Policzmy się tylko z siłami—powiada on—działajmy konsekwentnie, z równą stanowczością i solidarnością, a wkrótce będziemy mogli równy, jeśli nie większy kontyngens niemieckich pracowników oddać ich ojczyźnie w zamian za naszych braci.“ Podobno niektórzy nasi fabrykanci już rozpoczęli „asenizacyę“ i odprawiają robotników niemieckich, o ile zgłoszą się polscy. Jakiś nawet przemysłowiec, chociaż giermańskiego pochodzenia, dał u siebie zarobek kilkunastu wypędzonym poznańczykom. Ale co to wszystko pomoże, jeśli znajdzie się u nas wielu panów „Ludwigów.“ Kto jest pan „Ludwig“ warto wiedzieć. Żyd warszawski przyjął poddaństwo niemieckie. Wierny przysiędze, złożonej nowemu bogowi, przestrzega w swym kantorze nadewszystko czystości mowy niemieckiej. „W tych dniach“—jak donosi *Kuryer warsz.*—odebrawszy list z adresem: „Herrn Ludwik X,“ kazał go zwrócić z powodu, że imię jego napisano było przez *k*, a nie *g*. Wnoszę wysłanie tego p. „Ludwiga“ publicznym kosztem do—Madrytu. Tam by go nauczono... ortografii. My w tym przedmiocie dobrych nauczycieli nie mamy. Szkoda!

Wobec tylu klęsk, nieszczęść, rozbojów i p. „Ludwiga“ czy podobna mieć humor? Nie liczę się też zbyt ściśle z jednodniówką *Śmiech dla łez*, której utwory posiadają tę szczególną właściwość, że wszystkie są sobie prawie równe. Z nielicznymi wyjątkami spisali jo współpracownicy wydawnictw humorystycznych. Dwaj mistrze śmiechu, Lam i Prus, nie wystąpili. Pierwszego zaledwie do żyjących liczyć można, bo jest to dziś ruina, ciekawa tylko do obejrzenia dla podróżnych. Prus w pełni sił, ale akurat najrzadziej to robi, co najlepiej umie. Humor stanowi jego duszę, powaga—togę, w którą się lubi przebierać i która mu nie do twarzy. On jeden może... Ach, muszę się przywołać do porządku, bo zamiast o *Śmiechu dla łez* zacząłem pisać o Prusie, który oddawna już siedzi mi w piórze i czeka, ażebym go stamtąd w kolumny *Prawdy* przeprowadził. Zrobię to już wkrótce, dziś zaś winienem objaśnić czytelników, że dobroczynne wydawnictwo *Kolców* jest ilustrowane. Na okładce Kostrzewski przedstawił chłopca, zapalającego papierosa u główni zgliszcza. Obrazek ten zachwycił kilka pism i przypomniał im „lepsze czasy“ artysty. I dlaczegoż te lepsze czasy minęły? Czy Kostrzewskiego złamały nieszczęścia lub wiek? Nie, po prostu rozleniwił się. On, który kiedyś... I znowu muszę się przywołać do porządku, wszakże mam mówić o *Śmiechu dla łez!* Sprawozdanie moje wyrażę krótko: kupujcie, bo to dla biednych.

Jak przewidywałem—stało się. Komitet dla powodzian, który już nigdzie nie mógł wyszukać zasługujących na wsparcie, rozwiązał się, mając w kasie niezużytych pieniędzy 24,426 rs. 30 kop. Sumę tę złożono do Banku polskiego dla „przyszłych“ powodzian. Okazuje się z tego, 1) że postąpiliśmy właściwie, przeznaczając ostatnie ofiary, do naszej redakcyi nadesłane, dla pogorzelców Grodna, a 2) że bardzo oryginalnym jest kraj, który po olbrzymim wylewie Wisły może wesprzeć wszystkich poszkodowanych, bo nawet obywateli ziemskich, i na przyszłą klęskę zaliczyć 24,426 rs., a nie może uregulować niszczącej go rzeki. Że to oryginalne, nikt chyba nie zaprzeczy, ale że nierozsądne — również.

Kuryer warsz. donosi, że jeśli choroba *umysłowa* p. Pilata potrwa dłużej, uniwersytet lwowski ma zamiar wezwać na katedrę historyi literatury polskiej Chmielowskiego. Kiedy upłynie ostateczny termin tego oczekiwania—przewidzieć trudno, gdyż p. Pilat już od roku pozostaje w domu obłąkanych. Dodać należy, że wiadomość ta nie pierwszy raz wbiega do prasy i zawsze z tym samym humorem. Bo odwołuję się do rozumu dziesięcioletniego dziecka po odpowiedź: czy człowiek, który uległ mocnemu pomieszaniu zmysłów, nawet względnie poprawiwszy sobie zdrowie, może wrócić na katedrę uniwersytecką? Co innego współczucie, a co innego zaspokojenie potrzeby społecznej. I my żałujemy Pilata, ale pozbawianie wszechnicy tak ważnego wykładu, zwłaszcza że takie miłosierdzie choremu doli nie poprawi, jest w najwyższej mierze... galicyjskiem. Niech no by rząd austryacki nie pozwolił w uniwersytecie lwowskim uczyć historyi literatury polskiej—ile by to było krzyków i skarg! Tymczasem gdy prawo jest—idzie często na śmietnik. I to także wiedzieć trzeba, że Pilat nie był wcale odpowiednim profesorem tego przedmiotu, a z Chmielowskim na tem polu nikt współzawodniczyć nie może. Uniwersytety zagraniczne walczą z sobą o znakomitych uczonych, licytują ich podwyższonemi pensyami; *) tymczasem u nas dzielne głowy marnieją przy niewłaściwej robocie po rozmaitych kątach, a równocześnie wszechnice galicyjskie są licho obsadzone. Gdyby tu nie panowały protekcye, intrygi, niskie zawiści, sekciarstwa, oba te uniwersytety mogłyby z żywiołów swojskich zaopatrzyć się w takie siły profesorskie, że nie ustępowałyby zagranicznym. Ale o tem pod berłem stańczyków i rządami kliki Galicya dotąd nie marzy. Zobojętniała na naukę, zobojętniała nawet na prawa moralne. Bo czyż inaczej nie powołanoby już dawno Chmielowskiego? Zresztą odsuńmy na bok obowiązki względem jednostki—czyż sam interes, oczywisty interes nie radzi powierzyć katedry człowiekowi, który na niej przyniesie młodzieży najwięcej korzyści?

*) Tak np. Lipsk ofiarował wyższą płacę Mommsenowi, którego jednak zatrzymał Berlin, zrobiwszy go rektorem—co daje znaczne dochody.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Walka z niemczyzną. — Pierwsze zgłoski naszego *ausrotten.* — Cywilizacyjna działalność dwóch Mojżeszów. — Inni cudzoziemcy. — Jak sobie sami radzimy? — *Słowo* przestraszone własną śmiałością. — Sicarze biłgorajscy w charakterze Walenrodów.

Że Bismark jest człowiekiem niezwykłym o tem przekonać może cud, jakiego dokazał. W drzemiące serca nasze potrafił on tchnąć tyle oburzenia, że od lirycznych skarg przed „trybunałem historyi i sprawiedliwości“ gotowi jesteśmy przejść do czynnego odwetu. „Jeden z większych kupców i przemysłowców radomskich, czytamy w *Kuryerze codziennym*, wymówił korzystne miejsce jednemu ze swych oficyalistów—jedynie dla tego, że był niemcem... Podobno wszyscy ziemianie w lubelskiem, posiadający u siebie służbę folwarczną pochodzenia niemieckiego, wydalają takową, opłaciwszy pensye za czas kontraktowy. Za tym przykładem zamierzają pójść także przemysłowcy.“

Są to pierwsze zgłoski naszego *ausrotten!* jeżeli nauczymy się cały ten wyraz wymawiać gładko, zawdzięczać to będziemy „wyższej“ kulturze niemców, która dotąd od lat tysiąca napróżno usiłowała wpoić w nas zasady samozachowawcze. Dla ułatwienia odwrotu naszym cywilizatorom moglibyśmy poświęcić wszystkie pudle, jakie kraj posiada. Perspektywy takiej kulturtregerzy nie lubią: widok gotowych zaprzęgów skłoniłby ich do niejednego ustępstwa. Dowodem tego — dyrekcya Banku handlowego w Łodzi, którą nawet mniej energiczne środki—bo tylko nawoływanie dzienników—usposobiły tak, iż poleciła wydawać przekazy na Warszawę w języku polskim. „Jest to dopiero początek, za którym ma pójść dalsza reforma językowa; nie będzie ona trudną w instytucyi, której urzędnicy władają dobrze językiem krajowym.“ Większe trudności przewiduje *Kuryer codzienny* w skrępowaniu cywilizatorskiej chętki prywatnych kantorów bankierskich tegoż miasta. Jeżeli jednak, kupiectwo warszawskie zechce się podjąć korepetycyi, to niejeden zniemczały żydek łódzki, nie jeden początkujący kulturtreger zacznie jako tako wymawiać: „lepszy geszeft z polak, nisz putel z fuskiem.“ Idzie tylko o solidarność nauczycieli, o odrobinę z ich strony uczciwości. Obok chęci pozbycia się niemców widzimy też dowody szczerego współczucia dla poszkodowanych ziomków. „P. A. Wietrzykowski obywatel ziemski z Halinowa pod Radomiem ogłasza, że potrzebuje *porządkowego* znającego się na gospodarstwie, trzech parobków żonatych i dzietnych, oraz 3-ch dziewek i że miejsca te chciałby oddać ludziom pracowitym i trzeźwym, ze stron dalszych przybyłym.“ Wszystkie pisma proszone są o powtórzenie tej wiadomości.

Walka z niemczyzną wprowadzi do naszego życia zasadę starego zakonu, zasadę Mojżesza. Miłość bliźniego musimy zachować na lepsze czasy, kiedy tępienie narodu nie będzie ostatnim słowem filozofii naszych mistrzów.

Inne objawy społecznego atawizmu pragnął przyswoić nam Mojżesz z Brzozówki (w pow. kozienickim). Wraz z dwoma swymi współwyznawcami, trudnił się on przez parę lat koniokradztwem. Interes prowadzony porządnie i systematycznie zjednał nieszczęśliwym mieszkańcom wioski sławę zawołanych złodziei. Nie wspominałbym o tej drobnej gałązce krajowego przemysłu, gdyby nie to, iż ukaranie winowajcy stało się tutaj powodem zbiorowego wystąpienia wieśniaków, jakie zawsze skrzętnie zaznaczam. Chłopi, zgromadziwszy się na naradę wraz po wykryciu kradzieży,—uchwalili: żydów we wsi nie „trzymać," a zamieszkałym dawniej—odmówić prawa pobytu. Nie pierwszy to już raz uchwała taka w gminie zapada; prawomocność jej wielce jest podejrzaną, ale obyczajowe i społeczne znaczenie—wymowne.

Kulturtregerstwo niemieckie nie jest jedyną postacią wyzysku, jaką przybiera przesadzona na nasz grunt cywilizacya Europy zachodniej: francusko-włoskie Towarzystwo w Dąbrowie nie na większe zasługuje uznanie. „Zasadą i celem przemysłowców kopalnianych i właścicieli hutniczych zdaje się być nie ulepszenie produkcyi, nie zwiększenie płacy roboczej, wprowadzenie niezbędnych dla robotników środków bezpieczeństwa, zapobieganie nieszczęśliwym wypadkom, lecz przedewszystkiem osiąganie jak największych zysków przy możliwie niskich wydatkach." Tak mówi łagodny *Wiek*, którego o burzycielskie zapędy nikt nie posądzi. Pobudką wystąpienia jest dlań niedawno zaszły wypadek kalectwa i przybicia w kopalni kilkunastu ludzi — wskutek nieudolności i niedbalstwa zwierzchników. „Źle zrozumiana przez dyrekcyę oszczędność, usuwanie z urzędu fachowców-polaków, powoływanie na wpływowe stanowiska cudzoziemców, całkiem nie obeznanych z kopalnictwem krajowem—wszystko to powoduje ciągłe wypadki i stanowi główną przyczynę strat Towarzystwa."

Gdziekolwiek się więc zwrócimy—obca opieka nie wesołe wydaje plony. Czy jednak bez wszelkiej obejść byśmy się potrafili, czy umiemy korzystać nawet ze swobody trzymanych na pasku pupilów — wątpię.

Odpowiedzi twierdzącej nie dają przynajmniej ziemianie gub. wileńskiej i przyległych. W Wilnie, jak wiadomo, za dni kilka ma się odbyć wystawa bydła i koni. Miasto na przyjęcie jej robi co może, a nawet więcej, niż mogłoby uczynić jakiekolwiek inne w Europie — bo dla rogaciżny i nierogaciżny na mieszkanie ofiarowało *plac katedralny* — prawie w punkcie środkowym położony; ale „przodownicy" nie mają litości nawet nad strapioną redakcyą *Słowa*, które tak jęczy: „Co do zachowania się wiejskiej naszej *inteligencyi* (wyraz obcy, który nie zawsze można zastąpić słowem *ziemiaństwo*) wobec zapowiedzianej ekspozycyi (czyt. wystawy) w Wilnie, to z przykrością musimy na tem miejscu zaznaczyć, iż do ostatniej chwili ogół nasz zachowywał się dość obojętnie, nie okazując prawie chęci do (?) przyjęcia udziału w wystawie. *Nie wypowiadamy jednak słów powyższych w postaci wymówki, lecz gwoli stwierdzenia smnego faktu*" Służalczość jest cechą, którą do obyczajów narodowych oddawna stara się wprowadzić *Słowo*. Nie wypowiadam jednak wyrazów powyższych w postaci wymówki, lecz gwoli stwierdzenia samego faktu.

W kronice smutnych objawów życia wiejskiego, jak zawsze tak i dzisiaj, główne miejsce zajmują stosunki chaty do dworu. Dzikość pojęć i uczuć chłopa, po uwolnieniu go nawet od oszczerstwa stróżów pańskiej klamki — bywa częstokroć przygnębiającą. Czytelnicy nasi wiedzą, że źródeł jej szukamy dość głęboko, z tem większym więc spokojem w roli oskarżyciela mogę wystąpić. Materyału dostarczy mi dzisiaj wilkomierski korespondent *Słowa*. Z właścicielem pewnego majątku toczyli spór chłopi o kawał ziemi, wydzierżawionej osobie trzeciej. Sprawę wygrali, lecz wyrok sądu zmuszał ich do czekania przez dwa lata jeszcze na ostateczny kres dzierżawy. Niektórzy nie mając po temu cierpliwości, grozili współzawodnikowi dość długo „wykurzeniem," w końcu napadli nieszczęśliwego i zamordowali go wraz z rodziną, składającą się z *pięciu* osób. W zbrodni tej przeraża przedewszystkiem potworna jej naiwność. Pozostawać z kimś w stosunkach nieprzyjaznych, odgrażać się wobec całej okolicy— a potem gromadnie napaść i zamordować nieprzyjaciela bez obawy ściągnięcia podejrzeń — jest to objaw barbarzyństwa tak pierwotnego, iż wzorów dlań szukać trzeba tylko wśród ludożerców: zabójcy nie mogą tu być karani, jako ludzie, gdyż nie dano im jeszcze stanąć na poziomie ludzkiej umysłowości. Działalność ich przypomina maniactwo kretyna i dzikość nieprzepartych, ślepych popędów drapieżnego zwierzęcia. Obyczajowość ludu, do której i religia jego stosować się musi, jest niepospolicie konsekwentną. W ciemnym umyśle zabójców nie zmieściło się pojęcie, że ktoś prawnie może korzystać z ich własności: uważali się za pokrzywdzonych przez sądy, a w poczuciu krzywdy lud wiejski znajduje, jak wiadomo, usprawiedliwienie najbardziej krwiożerczych postępków. Nie zdziwiłbym się też wcale, słysząc, że mordercy przed spełnieniem zbrodni uciekali się z prośbą do nieba o jej powodzenie, że, spełniając ją, mieli siebie za szafarzów „sprawiedliwości."

Stosunki, których zabójstwo powyższe jest wyrazem, uległy podobno zmianie ku lepszemu — na Białorusi; przyczynić się do tego miało założenie tam banku dla włościan: „Zaborcze zamiary i uczynki chłopów, zdarzenia dość często w ubiegłych latach, obecnie, od czasu otwarcia kredytu ustały w pierwotnej swej formie... Pretensye atoli włościan do obywateli uwydatniły się pod inną postacią. Najmniejsza klęska w kraju przypisywaną jest złej woli panów, niezadowolenie objawia się nietylko w słowach, ale i w czynach." Panowie też uważani są np. za *podpalaczy*... Tak mówi korespondent *Kraju*, dodając przytem, że wyraz *pan* włościanie miejscowi stosują do każdego posiadacza większej własności ziemskiej, bez względu na wyznanie jego i narodowość. Składanie „najmniejszej klęski" na karb panów — jest zapewne wytworem szlacheckiej gorliwości korespondenta. W kraju, gdzie istnieją jeszcze upiory, wiedźmy, czarownice itp. znajdzie się niemało sprawców złego po za sferą dziedziców.

J. Nieborski.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 18 września.

Z położenia obecnego w Hiszpanii trudno bardzo zdać sobie sprawę. Depesze urzędowe zapewniają, iż spokojniejszy nastrój zaczyna się w usposobieniu narodu hiszpańskiego ujawniać, lecz wiadomości prywatne nie tak różowo oceniają sytuacyę, a pozorny spokój objaśniają obostrzonym nadzorem policyi i surową cenzurą, nie przepuszczającą przez granicę Hiszpanii żadnej niepokojącej wieści. Jedno tylko zdaje się być pewnem, a mianowicie, że rząd monarchiczny w Hiszpanii, nie chcąc być zaskoczonym znienacka przez republikę, sam idzie na jej spotkanie. Inaczej niepodobna wytłomaczyć sobie takiego np. faktu jak owo zaproszenie na obiad, którem król Alfons zaszczycił Moreta, jednego z przywódców republikanów hiszpańskich. Być może iż pan Moret ma odegrać rolę Thiérs'a i przekonać podrażniony lud hiszpański, że król Alfons: „c'est la meilleure des republiques."

We Francyi tymczasem przygotowują się gorliwie do walki wyborczej. O ile się zdaje, partye niezdecydowane, z programem nieokreślonym — jak lewy środek i oportuniści wyjdą z walki tej bardzo osłabione. Oportunistom zwłaszcza nieszczególnie się powodzi. Najzdolniejszego i najenergiczniejszego z ich liczby Jules Ferry'ego w najgorętszej chwili cierpienia przykuły do łoża i to cierpienia, jak przeciwnicy polityczni twierdzą, podejrzanej bardzo natury, świadczące zarówno o burzliwym temperamencie, jak i o nieostrożności byłego premiera.

„Z powodu chwilowej niedyspozycyi" *tenora di forza* oportunizmu, zastępstwa podjął się pan Brisson i nieszczególnie się z roli swej wywiązał. Mowa przezeń przed kilku dniami mowa wyborcza nikogo nie zadowolniła. Dążąc do zjednoczenia wszystkich frakcyj republikańskich, usiłował Brisson dowieść, że różnice dzielące je są tylko pozorne. W założeniu już zatem krył się fałsz, broniony zresztą bardzo słabemi argumentami, które Clemenceau w odpowiedzi na tę mowę z łatwością obalił.

W takiem samem zupełnie położeniu znalazła się partya liberalna w Anglii. I tam przywódcy liberalizmu, staremu Gladstonowi choroba krtani nie pozwala głosu zabierać. Zastępował go więc Hartington również niefortunnie jak Brisson Ferry'ego, a rolę Clemenceau względem Hartingtona odegrał Chamberlain, przywódca angielskich radykałów.

W rezultacie po obu stronach kanału La Manche przewiduje się silny wzrost radykalizmu.

Od polityki słów przejdźmy do polityki faktów. Zajmują się nią między innemi rumuni, którzy w d. 3 b. m. zapędzili bulgarów ze wzgórza Arab-Tabia pod Silistryę i sami je zajęli. W Bulgaryi panuje z tego powodu silne wzburzenie. Załoga Silistryi została wzmocnioną, a książe Aleksander, który w przeszłym tygodniu przejeżdżał przez Ruszczuk, konferował w tej kwestyi z generalnym sekretarzem rumuńskiego ministeryum spraw zagranicznych i prefektem bukareskiej policyi.

Czynną też politykę zamierza prowadzić generał Courcy w Anamie. Zaraz po przybyciu żądał on pozwolenia na zajęcie kraju tego dla Francyi. Podówczas uważano myśl tę za nie będącą na dobie. Obecnie położenie zmieniło się, gdyż młody król przebiega podobno prowincye, podburzając lud swój do powstania. Generał Courcy otrzymał wskutek tego instrukcyę zrzucenia w razie potrzeby króla anamskiego z tronu.

Z Kasali nadchodzą wiadomości, które, z punktu widzenia interesów europejskich, możnaby nazwać lepszemi. Plemiona, oblegające to miasto, biją się między sobą, tak iż obecnie załoga może się swobodnie w żywność zaopatrywać. W łonie powstańców panuje taka niezgoda, iż podobno Osman Digma zranionym został przez jakiegoś araba, w tej właśnie chwili, gdy namawiał szeików do wspólnego działania na Kasalę.

W Irlandyi ruch agrarny znów się wzmaga. Stronnicy środków wyjątkowych obja-

śniają fakt ten zniesieniem t. z. ustaw koercyjnych. Przyczyny, rozumie się, tkwią głębiej, statystyka jednak dowodzi, iż w ciągu miesiąca po zniesieniu tych ustaw przestępstwa agrarne wzrosły liczebnie i przybrały gwałtowniejszy charakter.

CUDZE GŁOSY.

W sprawie wydalań rodaków naszych z Poznańskiego i Szląska najenergiczniej chyba wystąpił *Świet*, organ p. Komarowa, znanego dawniej z polakożerstwa. Oto co pisze ta gazeta ku wielkiemu oburzeniu niemieckiej *St. Petersburger Zeitung*.

„Rzecz niezrównana! Niemcy karmią się i pęcznieją na naszej ziemi, a jak się wypasą i nabiwszy trzosy wrócą do faterlandu, wyganiają naszych od siebie (gdybyż to, ale z Poznańskiego!) przez wdzięczność. Tak jest, wyganiają *naszych*, *nas samych* wyganiają, bo rosyjscy polacy — to my, to część wspólnej naszej krwi słowiańskiej, która nic wspólnego z krwią niemiecką nie ma. Jeśli była między nami zawiść, jeśli były zatargi i nieporozumienia, to one były między nami, były swojskie, domowe; nie prusakowi być nam rozjemcą, nie jemu nos wtykać w nasze swary rodzinne!

Wielki czas zerwać z naszą rosyjską dobrodusznością i otrzymawszy policzek, dać pokój z nadstawianiem drugiego. Podnieśmy głowę do góry, będą nam się niżej kłaniali. Guliwer jednym zamachem strząsł z siebie natrętnych liliputów; gdyby tego nie uczynił, zaleźli by mu i do nosa i do ust — wszędzie.

„Kiedy Anteusz uczuwał, że traci siłę, wydłużał się na ziemi i siła jego dziesięćkroć się wzmagała. Ziemi mamy sporo, chwała Bogu; tylko umiejmy się na niej wydłużać, dobrze ją urządzić, a zobaczymy jak słaby stanie się silnym, nicpoń — zacnym, dureń — statecznym. Ziemia to chleb, gdzie jej niema, chleba niema.

Powoli, nieznacznie, stopniowo, ale ruszamy się naprzód. Olbrzym ocknął się, przeciąga swe członki i zżyma pięści oglądając się ostrożnie za wrogiem. I będzie miał figiel ów niewczesny figlarz naigrawający się nad drzemiącym olbrzymem: starty zostanie na proch i zdmuchnięty z oblicza ziemi...“

„Energiczne proroctwo“ dodaje *Wiek*, cytując ten ustęp.

PRASA ROSYJSKA.

Wysyłanie polaków z Niemiec wciąż pobudza prasę rosyjską do nowych rozmyślań. I nie dziwnego. Nie są to bowiem fakty, z którymi tak łatwo możnaby się oswoić, nad którymi po niejakim czasie można byłoby przejść spokojnie do porządku dziennego.

Nowosti zadają sobie pytanie: dlaczego rząd pruski „drakońskie te środki“ stosuje tylko względem poddanych rosyjskich? dlaczego, jeśli chodzi o usunięcie współzawodnictwa żywiołów obcych, tak nieznaczną jest wśród wygnańców liczba poddanych austryackich? dlaczego rozporządzeń ostatnich nie rozciągnięto na francuzów? dlaczego wreszcie z pomiędzy żydów wypędzają tylko poddanych rosyjskich, pozostawiając angielskich i francuskich w spokoju?

„Niektórzy utrzymują — ciągnie dalej wspomniana gazeta — że surowe postępowanie rządu niemieckiego względem rosyjskich poddanych tem się objaśnia, iż można ich jako nie posiadających paszportu wypędzać bezkarnie, gdyż za „włóczęgami,“ jak ich prawo rosyjskie mianuje, rządowi ujmować się nie wypada.“

Pogląd ten uważają jednak *Nowosti* za mylny, gdyż:

„w liczbie wysłanych znajdują się i tacy, którzy służbę wojskową odbyli i wyjechali za formalnymi pasportami. A jednak i takich ludzi administracya pruska bez ceremonii wypędza, jak gdyby z góry była pewną, że Rosya nie ujmie się nawet za tymi poddanymi, którzy z jej zezwolenia kraj opuścili.

Czem więc objaśnić zachowanie się jej w danem położeniu? — zapytuje wspomniana gazeta i daje objaśnienie. Polega ono na przypuszczeniu, że:

„na zjeździe skierniewickim nastąpiła między Rosyą, Austryą i Niemcami ugoda co do wspólnych działań przeciw żywiołom rewolucyjnym. Prawdopodobnie Prusy nadużywają pozostawionego im na zjeździe tym prawa wysyłania poddanych rosyjskich „politycznie podejrzanych“ i rozciągają je na ludzi „politycznie lub ekonomicznie nie pożądanych,“ a więc przedewszystkiem na polskich robotników.“

Petersb. Wiedomosti, których uwagi, zwróconej na polaków, nie zdołał odciągnąć ani Wolff w Konstantynopolu, ani zatarg hiszpańsko-niemiecki, piszą:

„I oto nowy krok zrobiono w sprawie polsko-katolickiej kolonizacyi rosyjskiej Galicyi. Dzisiejszy telegram ze Lwowa doniósł, że kierownicy sprawy otwarcie wynurzyli zamiar zawładnięcia także lwowskim klasztorem bazylianów, naznaczywszy nawet termin, mianowicie pierwszy listopada według nowego kalendarza. Tym sposobem w samem ognisku duchownego i politycznego życia rosyjsko-galicyjskiego narodu wzniesionym zostanie rodzaj *memento mori* dla jego narodowych i religijnych uczuć i dążeń. Po Dobromilu przyszła kolej na Lwów. Nowe powodzenie intryg i machinacyj odezwie się ciężkiem echem w sercach wszystkich galicyjsko-rosyjskich patryotów, budząc jeszcze cięższe obawy, że robota powoli, ale na pewno przystępuje do najpopularniejszej i najczynniejszej instytucyi w Galicyi, do lwowskiego „narodnego domu,“ do ogniska tamecznego życia literacko-społecznego. Obawa ta tem więcej jest uzasadnioną, że jeden z anonimowych renegatów sprawy rosyjskiej wydał niedawno broszurę, zalecającą oddanie administracyi „narodnego domu „niekomu innemu, jak „sprawie;“ żywe oburzenie, wywołane w Galicyi tą propozycyą, okazuje między innemi wyraźną trwogę, że projekt taki podoba się w sferach rządzących losami kraju. Nie wyszedł stamtąd jednak dotąd żaden znak; obecnie przejście lwowskiego klasztoru bazyliańskiego w ręce jezuitów może dać domysłom bardziej określoną formę i wskazać kierunek: jest to rzeczywiście *memento mori* dla rosyjsko-prawosławnych ideałów Galicyi. Widocznie kompromisy z Watykanem i jezuitami prowadzą tylko do przyzwoitszego inscenizowania stanowczych ich zwycięstw nad łatwowiernymi galicyanami, którym widocznie nie pozostaje nic więcej, jak iść za przykładem duchownego wodza Galicyi, dobrego duchem i ciałem pasterza greko-unickiego, a obecnie prawosławnego Iwana Naumowicza. Prawosławie — oto potężny, dach, pod osłoną którego może znaleść uspokojenie prześladowana i uciskana ludność rosyjsko-galicyjska. O. Naumowicz już dał jej godny przykład, przyjąwszy w dniu 6 (18) sierpnia w stolicy Austro-Węgier, w uroczystem otoczeniu, wiarę ojców, przez fatalną omyłkę zamienioną w niebezpieczny kompromis z Watykanem.“

Taż sama gazeta, mówi na innem miejscu.

„Nie należy taić, teraz zwłaszcza, kiedy między naszym a wiedeńskim rządem wzajemne zaufanie umocniło się więcej niż kiedykolwiek, że działalność miejscowych władz krakowskich i lwowskich była jawnie nieprzyjazną względem Rosyi, dążyła wprost do obrażania najświętszych uczuć i pragnień każdego rosyanina. Nieszczęśliwy, trzechmilionowy naród rosyjski we wschodniej Galicyi w północnych komitetach Węgier, dzięki machinacyom i intrygom krakowskich nieprzejednanych, został doprowadzony do położenia istotnie oburzającego, grożącego niedającemi się przewidzieć niebezpieczeństwami samej nawet austryackiej idei państwowej. W Krakowie otwarcie święcono „zasługi“ zbiegłych z Rosyi buntowników, a wraz z podnoszeniem i wysławianiem „patryotycznej działalności“ jakichś Żywkowiczów, prześladowano w sposób najniemiłosierniejszy i najniesprawiedliwszy najlepszych synów narodu rosyjskiego. Religijnemu jego poczuciu groziło najzupełniejsze unicestwienie ze strony jezuitów i zmartwychwstańców, a wówczas kiedy krakowskie i lwowskie dzienniki półurzędowe przyklaskiwały programowi bojowników idei jagielońskiej, a p. Dieduszycki otwarcie miał mowy zwrócone przeciw Rosyi, skromni i bezinteresowni działacze z pośród rosyan, za „zdradę“ schli (!) w kazamatach więzień polskich. Znanemu patryocie A. J. Dobrjańskiemu kazano opuścić ojczyznę i zamieszkać w Wiedniu. Ojciec Naumowicz został ostatecznie odłączony od kościoła i za „schyzmę“ pozbawiony jedynej wówczas więźniowi pozostałej pociechy religijnej. Przy wyborach do Izby, jako reprezentant trzechmilionowego narodu wybrany został jeden tylko deputowany W. A. Kowalski, a w Izbie panów, której członków mianuje sam rząd, po dawnemu nie zasiadał nikt z synów „zdradzieckiego narodu.“ Prześladowanie doszło do zenitu, a prokuratorya lwowska gotowała się do wytworzenia nowego lwowskiego procesu. Takie położenie jest chyba niemożliwem po zjeździe w Kromieryżu, jeżeli tylko, o czem nie wątpimy, Austrya szczerze dąży do utrwalenia przyjaznych z Rosyą stosunków. Wolno nam mieć nadzieję, że w niedalekiej przyszłości centralna władza wiedeńska zwróci uwagę na machinacye i intrygi miejscowych krakowskich i lwowskich administratorów. *Nowyj Prolom* donosi już, że w wiedeńskiej Izbie panów zasiadać także będzie przedstawiciel narodu rosyjskiego, znany galicyjski działacz i publicysta, b. poseł W. A. Fedorowicz; chodzą również pogłoski, że prokuratorya lwowska otrzymała rozkaz zaniechania procesu rosyjskich „zdrajców stanu,“ którzy w ubiorze włościańskim pozwolili sobie być obecni na ostatniej uroczystości Cyryla i Metodego.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

P. Zapolska wzywa przez *Kuryer codzienny* autora krytyki jej nowel, w *Prawdzie* (nr. 35) ażeby w redakcyi *Świtu* złożył w ciągu dni dziesięciu dwa oryginały utworów, z których miała ona przerobić swe powiastki, a sąd z osób kompetentnych z „czcigodnym J. I. Kraszewskim na czele“ wyda w tej sprawie wyrok. Ponieważ p. Wiat 1 września wyjechał z kraju a powróci dopiero w początkach listopada, i ani powyższego wezwania wcześniej odebrać, ani na nie odpowiedzieć nie może, więc pani Zapolska musi odłożyć swój termin aż do tej pory. Tymczasem zwracamy tylko jej uwagę na dziwaczność procedury: doręcza ona pozew przez *Kuryer codzienny*, dowody każe złożyć w *Świcie* a trybunał wyznacza w więzieniu magdeburskiem. Procedurę tę uprościmy jej, tak dalece, że zarówno udział *Świtu*, jak trudzenie schorowanego Kraszewskiego okaże się zbytecznem, mianowicie: odpowiedź przedmiotową p. Wiat zamieścimy w *Prawdzie*.

Wiadomości administracyjne. Na utrzymanie inspektorów podatkowych w r. p. ministeryum finansów wyznacza 1,050,942 rs., a 65,000 rs. na nagrody dla urzędników ministeryum spraw wewnętrznych i finansów za ich gorliwą działalność przy ściąganiu podatków.

Nowe rozporządzenie, poleca przedsiębiorcom wszelkich widowisk prywatnych składanie kaucyi, zabezpieczającej płace oficyalistów itp. bez czego władza policyjna nie będzie udzielała pozwolenia na widowiska.

Ministeryum sprawiedliwości przedstawiło do rady państwa projekt, dotyczący archiwów hypotecznych przy instytucyach sądowych okręgu warszawskiego. Kaucyę od zawiadujących archiwami gubernialnemi i powiatowemi oznaczono: dla m. Warszawy na 6,000

rs., dla pozostałych miast gubernialnych i Łodzi—3,000 rs., a dla dwóch jeszcze miast powiatowych—po 600 rs.

Zarząd pocztowy zamierza nabyć po kilkanaście wagonów na każdej kolei do przewozu listów, pism i transportów. Również powstał projekt rozwożenia po mieście listonoszów, w odpowiednio urządzonych omnibusach, na sposób zagraniczny.

Pobór. Królestwo Polskie ma w tym roku dostarczyć do armii rosyjskiej 22,849 rekrutów. Najwięcej nowozaciężnych da gubernia Warszawska, najmniej Płocka.

Komisya, wyznaczona do rewizyi chederów w Łodzi, ukończyła już swoje czynności i przesłała sprawozdanie rządowi gubernialnemu w Piotrkowie. Zwiedziła ona 107 chederów, lecz tylko cztery uznała za znajdujące się w dobrym stanie, wszystkie pozostałe wymagają rozmaitych ulepszeń.

Stacye obserwacyjno-meteorologiczne. Projekt urządzenia na tutejszych stacyach dróg żelaznych stacyi meteorologicznych, rozpatrywany na ostatnim zjeździe przedstawicieli dróg żelaznych, doznał nieprzychylnego przyjęcia. Na odezwę w tym przedmiocie zarządy kolejowe odpowiedziały, że jakkolwiek otwieranie na prowincyi stacyi takich może oddawać rolnictwu i przemysłowi wielkie usługi, jednakże drogom żelaznym nie przynosiłyby żadnej korzyści i dlatego ze sprawą tą należy się odnieść do departamentu poczt i telegrafów.

Charakterystyczne. Podobno jakaś spółka niemiecka układa się z właścicielami gruntu w gubernii wołyńskiej o eksploatowanie kopalń granitu w okolicach Teterowa i Słucza. Zdaje się, że w dalszych planach kompanii leży zagarnięcie łomów marmuru na porzeczu Smotryczy, bogato rozproszonych i glinki fajansowej, której pokłady znajdują się w powiecie zwiahelskim. Tak donosi *Kur. warsz.*, a dzieje się to wobec 30,000 wygnanych z Prus.

Stowarzyszenie subjektów handlowych w. m. tak dobrze stanęło pod względem finansowym, iż postanowiło umorzyć zalegające u członków pożyczki.

Proletaryat inteligencyi. Jeden z mniej zamożnych urzędników ogłosił, iż poszukuje korepetytora studenta za rs. 3—miesięcznie i znalazł 12 kandydatów gotowych pracować za tak nędzne wynagrodzenie.

Śmiertelność Warszawy. W ciągu lipca r. b. zmarło w Warszawie ogółem 1,368 osób, a mianowicie mężczyzn 725 i kobiet 643. W czerwcu zmarło 1,098 osób; a zatem mniej o 270 aniżeli w lipcu. Różnica co do zdrowotności różnych dzielnic Warszawy jest olbrzymią; i tak, podczas gdy w cyrkule II/III w lipcu zmarło tylko 68 osób, w cyrkule V/VI aż 328.

Trzy czasopisma stojące niejako po za literaturą a mianowicie: *Gazeta losowań; Ogłoszenia handlowe przemysłowe i rolnicze* i *Tygodnik kucharski* zaczęły lub zaczną wkrótce wychodzić.

Instytut fizyczny otwartym wkrótce zostanie przy Muzeum przemysłowem. Koszta urządzenia wynosić mają rs. 5,000.

P. Zygmunt Noskowski ustępuje ze stanowiska dyrektora Towarzystwa muzycznego. Kierownictwa tymczasowo podjął się p. Michał Hertz. W rzędzie kandydatów wymieniają hr. Platera.

Urządzenie czytelni przy tutejszej bibliotece uniwersyteckiej postępuje tak szybko, iż w bieżącym tygodniu będzie ona zapewne otwartą.

W Rzymie w d. 16-ym listopada ma się odbyć kongres uczonych pracujących nad kryminalistyką, na który kilku specyalistów z Warszawy otrzymało zaproszenia.

Jan Matejko pracuje obecnie nad Joanną d'Arc, wielkim obrazem o rozmiarach bitwy pod Grunwaldem. Nad głowami walczących w obrazie widnieją aż trzy alegoryczne figury, a mianowicie: św. Michał z płomienistym mieczem (?) św. Katarzyna podająca Joannie d'Arc palmę męczeńską i aniołek podtrzymujący biały sztandar. Trzy święte grzyby w jeden artystyczny barszcz—to chyba zawiele!

Zapis. Zmarły w Odesie kapitan Parczewski zapisał znaczny majątek na stypendya dla młodzieży. Korzystać z zapisu będą mogli tylko poświęcający się studyom nad językami wschodniemi.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. A. Now. Szkoda, że zamiast ubolewań nie wyjaśnił nam Pan bardziej przedmiotowo, o co Panu chodzi. Czem zgrzeszył krytyk pracy Chotkowskiego, zgadnąć nie możemy. Mniemana zaś „obrona," którą Pan dostrzegł, nasunęła nam smutne pytanie: czy też wszyscy tak uważnie *Prawdę* czytają i tak ją rozumieją?

P. Maryi D. „Konrad Wallenrod" w wydaniu lwowskiem kop. 20, w lipskiem rs. 1. *Historya literatury: Mecherzyńskiego* rs. 2, *Kuliczkowskiego* rs. 3, kop. 20, *Bartoszewicza* rs. 3, *Wójcickiego* rs. 1, kop. 50.

OFIARY.

Na pogorzelców Grodna. Dla rodziny murarza Czerniawskiego w Grodnie, z Łukowa rs. 3 kop. 15, Weydlich ze Skotynian rs. 10, Hrubant z Petersburga rs. 2 kop. 50, Oficyaliści z fabryki Kożanka rs. 20, Bezimiennie rs. 3, profesor Baudouin de Courtenay za nieprzyjęte honorarium przez dr. Sommera rs. 5, H. Ey. rs. 3, St. Ło. rs. 1.

Ogłoszenia.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 6 Сентября 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.